

Laura Wright

Pierwsze wspólne święta

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Clint Andover usiadł nagle na łóżku. Miał przerażenie w oczach, a ciało pokryte potem. Otarł pot z twarzy i otrząsnął się z makabrycznego snu. Trzy lata. Już pora o tym zapomnieć.

Rozejrzył się po sypialni. Stal i szkło, ani śladu płomyka czy dymu. To znowu był sen, chociaż blizna po oparzeniu na jego piersi przypominała, że nie zawsze tak było.

Jak każdej nocy, gdy budził się po tym koszmarze, nie próbował już zasnąć. Wiedział, że to nie ma sensu. Wyszedł z pokoju i szedł do swego gabinetu na pierwszym piętrze, gdzie zawsze szukał schronienia. Pierwsze blaski świtu oświetlały mu drogę do barku, ale znał ją na pamięć. Bursztynowy płyn w karafce był conocnym towarzyszem. Łyknął spory haust whisky i usiadł w fotelu przy biurku.

Ironia losu! Był dyrektorem największej firmy ochroniarskiej w zachodnim Teksasie, miał w zasięgu ręki najróżniejszą broń, a nie mógł się sam obronić przed wspomnieniami tamtej nocy.

Nocy, którą przeżył.

Nocy, której umarł.

Clint dopił resztę ze szklanki i rozważał, czy nie nalać sobie jeszcze. Może to słuszne, że prześladowają go te zmory, pomyślał. Może na to zasłużył i będzie dzięki temu pamiętał, żeby już nigdy nie pokochać tak bardzo?

Dotknął ohydnej blizny. Nie, dosyć whisky. Musi się napić kawy i trzeba zabrać się do roboty. To właśnie praca pozwalała mu zapomnieć. Powinien dopilnować zadań kolegów z Teksaskiego Klubu Ranczerów.

Przysiągł, że będzie chronił kobietę, która jest w śpiączce i nic o niej nie wiadomo prócz tego, że jakiś szaleniec chce skrzywdzić ją i jej małą córeczkę.

Clint wstał i spojrzał przez przeszkloną ścianę. Wczesny świt powoli przechodził w poranek, widok, który obserwował co dzień o tej porze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Już był na szpitalnym korytarzu, i to wcześniej, niż zwykle, zauważyła Tara Roberts. Nowy lekarz, ginekolog położnik, wszedł do windy z lekkim grymasem, który prezentował wszystkim, którzy nie byli absolwentami Akademii Medycznej.

Winda była pusta i Tara miała wielką ochotę skorzystać z okazji i wejść do niej za doktorem Beldenem, pojechać z nim na czwarte piętro i zadać mu kilka pytań. Nie obchodziło jej, czy to wypada, czy nie, ale chciała się dowiedzieć, dlaczego czuje zawsze zimny dreszcz na plecach, gdy nowy lekarz na nią spojrzy, i dlaczego traktuje pielęgniarki z takim lekceważeniem. Personel szpitala w Royal był szczerze oddany pacjentom, pracowity i profesjonalny. Naprawdę, nie zasługiwał na takie traktowanie.

Niestety, nie dana jej była konfrontacja z doktorem Beldenem, gdyż winda zamknęła się tuż przed jej nosem.

Westchnęła i zabrała się do pracy. Pisząc raport, dalej rozmyślała o tym człowieku. Nie była z natury podejrzliwa, ale ten nowy lekarz jakoś dziwnie na nią działał.

Może te wątpliwości nie miały nic wspólnego z nowym lekarzem, tylko chodziło o tajemnicze okoliczności związane z pacjentką, Jane Doe. Nie było to jej prawdziwe nazwisko, ale gdy obudziła się ze śpiączki, nie wiedząc, kim jest, panowie z Teksańskiego Klubu Ranczerów tak ją nazwali i tak już zostało.

Teksański Klub Ranczerów. Gdy wyobraziła sobie jego członków, najbogatszych, najbardziej seksownych, a jednocześnie ludzi wielkiego serca, odczuła zupełnie inny dreszcz.

Kobiety o nich marzyły, mężczyźni ich szanowali, a oni byli w stanie zrobić wszystko dla swego miasta, Royal, i jego mieszkańców, starych i młodych. Dowiedli tego w przypadku Jane Doe.

Biedna kobieta, pomyślała Tara, biorąc kartę kolejnego pacjenta. Zaledwie kilka tygodni temu weszła do knajpki w Royal, z dzieckiem w ramionach i z torbą przewieszoną przez ramię, i upadła zemdlna. Na szczęście, było tam kilku członków klubu, którzy się nią zajęli i odtąd czuli się odpowiedzialni za Jane i jej córeczkę.

Tara czuła dla nich głęboki podziw, ale to wszystko, na co sobie pozwalała. Nie miała zamiaru wzdychać do tego czy owego jak inne. O, nie. Matka wychowała ją na rozsądną dziewczynę i nie będzie robiła żadnych głupstw.

- Życie to służba - powtarzała matka aż do dnia śmierci.

Zycie jest po to, by służyć innym, a nie dla zabawy czy flirtów...

- Mam nadzieję, że dzisiaj nie będziesz mi sprawiać kłopotów, Taro?

Zaskoczył ją ten głos, a nie lubiła być zaskakiwana, zwłaszcza przez taki ciepły baryton, od którego robiło się miękko w kolanach. Z wymuszonym spokojem spojrzała na właściciela tego głosu. Zbliżał się do niej szef największej firmy ochroniarskiej w Royal, członek klubu, najbardziej seksowny i najprzystojniejszy facet, jakiego znała.

Był też pierwszym chłopakiem, którego pocałowała.

Clint Andover niewątpliwie zmienił się od czasów gimnazjalnych. Był wtedy ładnym chłopaczkiem o porażających niebieskich oczach i rozbrajającym uśmiechu. Ale teraz był wysokim, ciemnym, niezwykle przystojnym mężczyzną, za którym kobiety szalały. Spojrzenie jego oczu powodowało przyspieszony puls, gdy patrzyła w nie za długo. A dziś nie mogła się powstrzymać.

Jednak był też w jego oczach ból i poczucie winy. Trudno się dziwić, pomyślała ze smutkiem. Wszyscy w Royal wiedzieli, jak smutną miał przeszłość.

- Sprawiać komuś kłopoty? - powiedziała pewnie.

- To nie ja.

- Od kiedy?

- Od zawsze.

- Nie sądzę - stanął przy dyżurce pielęgniarek i skinął głową urzędnicze odbierającej telefony.

- Nie udawaj, że mnie tak dobrze znasz, Andover
- powiedziała swobodnie.

- Mam wyjątkową pamięć, Taro, i pamiętam, że poznałem cię całkiem nieźle.

Zamarła, zabrakło jej tchu. Ale w tych słowach nie było śladu uczucia, po prostu stwierdzenie faktu. Ona też powinna przyjąć taką postawę, przecież zawsze tym się chlubiła, swoim opanowaniem. Niestety, w jego obecności było to bardzo trudne. Przy nim stawała się kobietą z krwi i kości.

I ożywały wspomnienia.

Wspomnienie młodego Clinta Andovera, z którym siedzieli, przytuleni, w pięknej altanie Parku Royal. Gdy przybliżył usta do jej ust, połaskotała ją woń płynu po goleniu, jaki pożyczył od ojca.

- To było sto lat temu - zachichotała.

Podszedł do niej.

- Mówiłem, że mam wyjątkową pamięć. I pamiętam, że wtedy miałem z tobą kłopoty.

- Młodzieńczy pocałunek to żadne kłopoty - odpowiedziała ściszym głosem.

- Dla mnie były.

Zaschło jej natychmiast w gardle. I to nie dlatego, że on mógł mieć ochotę na takie właśnie kłopoty, ale ona miała. Postanowiła wziąć się w garść.

- Jak dotychczas udawało nam się zupełnie dobrze nie wchodzić sobie w drogę, więc o co chodzi tym razem?

- Mówiłaś coś wczoraj o zabraniu Jane ze szpitala do siebie?

- Tak - skinęła głową. - Ona jest tu nieszczęśliwa, Clint.

- Ale to najlepsze i najbezpieczniejsze miejsce dla niej.

Tara zmarszczyła brwi.

- Najbezpieczniejsze? Co chciałeś przez to powiedzieć?

Uniósł rękę, żeby ją uspokoić.

- Nic. Po prostu, jeśli potrzebuje jeszcze opieki medycznej...

- Jestem pielęgniarką - przypomniała.

- Rozumiem, ale chodzi też o to, że czuję się za nią odpowiedzialny i jeśli uważam, że powinna tu pozostać...

- Jak jest na moim oddziale, to ja jestem za nią odpowiedzialna - przerwała mu nieco ostrzej, niż zamierzała.

- Upór nie jest zaletą, sostro Roberts.

- Zastraszanie też nie, panie Andover.

Clint spojrzał na nią i mruknął pod nosem:

- Kłopoty.

Tara nawet nie drgnęła. Powiedział to tak ostro, dobitnie. Nikt jej dotąd nie kojarzył z kłopotami, a on powiedział to już trzykrotnie. Miała silną wolę, była uważna, rzeczowa, ale żeby były z nią kłopoty? Nigdy.

Kiedy tak na nią patrzył i czuła jego obecność obok siebie, wcale nie rozumiała tego słowa obraźliwie. Obróciła się do biurka, zbierając dokumenty.

- Mam robotę.
- Ja też - odpowiedział.
- Więc się do niej zabierzmy - zaczęła się oddalać.
- Miłego dnia, panie Andover.

Clint schwycił ją za ramię.

- Jest jeszcze ta mała sprawa przeniesienia Jane Doe.

- Biorę ją jutro do siebie.
- Do diabła, Taro...
- Jest w świetnej formie. Potrzebuje miejsca, gdzie będzie mogła się zrelaksować i może wróci jej pamięć. Potrzebuje odwiedzin u Autumn. A ja mogę ją tam zawieźć.

Spojrzał na nią ponuro, krzyżując ręce na piersiach.

- David i Marissa mogą tu przywieźć dziecko.

Zignorowała go i minęła.

- Mam pacjentów.

- Chyba mnie nie słyszysz! - zawołał za nią.

- Nie, nie słyszę - odkrzyknęła.

- Nie waż się jej przynosić, Taro.

Nie odpowiedziała i poszła dalej. Jej praca, pacjenci byli dla niej najważniejszą rzeczą w życiu i zawsze będzie się kierować ich dobrem, choćby to miało zde-nerwować tego przystojniaka Clinta Andovera.

- I zabrała ją do domu! - oznajmił Clint swoim kolegom z Klubu i spojrzał na nich, oburzony, zanim opadł na skórzany fotel. - Jakby nie słyszała mojego wyraźnego polecenia...

Ryan Evans spojrzał na niego znad stołu bilardowego i prychnął:

- Wydałeś polecenie kobiecie?

- Tak.

- I naprawdę uważałeś, że się zastosuje? - spytał z uśmiechem Alex Kent, nalewając sobie brandy.

- Nie widzę problemu - zdziwił się Clint.

- Więc przyjmij tę radę od szczęśliwego małżonka, który chce takim pozostać - zwrócił się do niego David. - Nigdy nie wydawaj kobiecie poleceń.

Ryan mruknął, kręcąc głową:

- Szczęśliwy i żonaty, jednocześnie. Co się z tobą stało, człowieku?

- Poczekaj tylko, Evans - odpowiedział David, obrócił się znów w stronę stołu bilardowego i szybko umieścił bilę w prawej łuzie. - Zbliży się twoja kolej.

- To niemożliwe - odpowiedział Ryan i z wrażenia nie trafił w bilę.

David zaśmiał się:

- Tracisz pewność.

- Idiota - mruknął Ryan, poirytowany.

- Panowie, bądźcie poważni - uspokoił ich Clint.

- Mamy problem.

Alex usiadł na fotelu obok niego.

- Czy ta pielęgniarka wie o próbie włamania?

- Do pokoju Jane w szpitalu?

Alex skinął głową.

- Nie.

- A o próbie porwania Autumn? - spytał David.

Clint pokręcił głową.

- Wie tylko to, co wszyscy. Ze wzmianki w prasie, jak Jane zemdląca w restauracji i że Autumn jest jej córką.

- Może powinieneś jej powiedzieć resztę?

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł. Im mniej osób w Royal wie, jak niebezpieczna jest sytuacja, tym lepiej - stwierdził Alex.

- Zgadza się - odpowiedział Clint. - Tylko bez tej informacji nie uda mi się namówić Tary, żeby z powrotem odwiozła Jane do szpitala.

- No tak - Alex zaczął się bawić kieliszkiem. - Wygląda na to, że będziesz musiał pilnować Jane Doe w domu pielęgniarki.

Clint poczuł, że robi mu się gorąco na myśl, że może być tak blisko Tary Roberts, ale przewalczył to uczucie. Oczywiście, że bardzo mu się podoba ta blond pielęgniarka, tak było jeszcze w szkolnych czasach, ale to jest praca. A on nigdy nie miesza pracy z przyjemnością.

- Pilnować Jane w domu siostry Roberts? - pokręcił głową. - Łatwo powiedzieć.

- Dlaczego? - spytał Alex. - Tak dobrze ją znasz? Ciekawe.

- To nic takiego. Tara i ja... jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Ryan uniósł brew.

- To ciekawe.

- Znamy się jeszcze z gimnazjum.

- Pierwsze uniesienia? - Gdy Clint nie odpowiedział, tylko prychnął, David dodał z uśmiechem. - Szkolna miłość, co, Andover?

Przez moment Clint poczuł ucisk w klatce piersowej i ogarnęły go wspomnienia tamtej nocy, Emily, ognia i śmierci, i bał się, że się udusi. Nie chciał, żeby ktokolwiek używał przy nim słowa „miłość”.

- Kochałem tylko jedną kobietę w życiu. - Clint wstał i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. - Nic między nami nie ma i nigdy nie będzie. Tara i ja przeprowadzamy jedynie próbę sił. Czas, żebym przejął kontrolę.

Alex skinął głową.

- Więc co masz zamiar zrobić?

- Jane Doe może równie dobrze mieszkać u mnie jak u Tary. Mogą przyjechać obie, jeśli chcą. W każdym razie nasza tajemnicza kobieta będzie miała moją opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dziękuję. - Jane, otulona w patchworkową kołdrę, zwinięta na kanapie u Tary w domu, popijając jasminową herbatę, uśmiechnęła się do gospodyni. - Nawet nie wiesz, jak mi tu dobrze.

Tara odwzajemniła uśmiech.

- Nie ma sprawy.

- Nie wiem dlaczego, ale w tym szpitalu czułam się jak w więzieniu.

- Ja też się czasem tak czuję.

Jane rzuciła okiem na ogień, płonący w kominku, i powiedziała.

- W twoim domu jest tak przytulnie i miło, i...

- Bliżej Autumn? - domyśliła się Tara.

- Tak.

Ona nie miała rodzeństwa ani dzieci, ale z każdym dniem coraz bardziej brakowało jej zmarłej matki, więc w pewnym, choć niewielkim stopniu, rozumiała Jane.

- Pewnie bardzo za nią tęsknisz?

- To tak, jakby mi brakowało części mnie samej.

W ametystowych oczach Jane pojawiły się łzy.

Opiekując się nią w szpitalu, Tara nie zadawała zbyt wielu pytań, na przykład dlaczego mała córeczka Jane przebywa na ranchu Sorrensonów. Nie jej sprawa. Jednak gnębiła ją ta myśl. Oczywiście, szpital nie był idealnym miejscem dla dziecka, ale byłyby razem.

Może gdy Jane jej bardziej zaufa, wyjaśni jej powód. Na razie postanowiła służyć jej przyjaźnią i życzliwie wysłuchiwać.

- Jutro mam wolny dzień - oznajmiła Tara, moszcząc się w fotelu. - Może byśmy wybrały się na przejażdżkę z wizytą do Sorrensonów?

Oczy Jane rozbłysły.

- Mogłybyśmy?
- Oczywiście.
- Bardzo bym chciała.

Tara spojrzała na nią z uśmiechem zarezerwowanym dla upartych, ale sympatycznych pacjentów.

- Jeżeli chcesz mieć siły, żeby się bawić ze swoją małą, musisz porządnie wypocząć.

Na ustach Jane pojawił się uśmieszek.

- To w języku pielęgniarstwie oznacza „idź do swojego pokoju i połóż się spać”, prawda?

- Prawda - potwierdziła ze śmiechem Tara.

Gdy pomagała Jane zejść z kanapy, rozległ się dzwonek u drzwi.

- Spodziewasz się gości? - zdziwiła się Jane.

Większość ludzi, których Tara знаła, była teraz w szpitalu, innych przyjaciół miała nielicznych, ale był ktoś chętny, żeby się z nią posprzeczać. Skrzywiła się.

- Nie jestem pewna, ale przypuszczam, że może to być pewien wścibski i bardzo irytujący facet.

- Clint, tak? Ten, który mnie pilnował w szpitalu.

- Właśnie.

Jane rozpromieniła się.

- Wysoki, ciemny i bardzo przystojny ochroniarz?

Na szyi Tary pojawił się rumieniec.

- Nie wiem, czy bardzo przystojny...

Znów rozległ się dzwonek.

- Jestem bardzo zmęczona - oznajmiła Jane, w której oczach błyskały iskierki humoru. - Idę na gó-

rę, żeby się położyć. I nie martw się, sama dojdę do swojego pokoju.

Tara miała ochotę ją poprosić, żeby została.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna - odpowiedziała radośnie.

Tara podeszła do drzwi, mrużąc do siebie:

- Wcale nie jest taki przystojny.

- Komu chcesz to wmówić? - roześmiała się Jane, stojąc na podeście, po czym weszła do sypialni i zamknęła drzwi.

Tara otworzyła drzwi w momencie, gdy dzwonek odezwał się po raz trzeci. Stał za nimi Clint Andover w granatowym swetrze. Jego oczy przybrały tę samą barwę.

- Więc jesteś w domu.

- Tak.

- Nie można ci ufać - warknął, pakując się do jej domu bez zaproszenia.

- O, dzień dobry - powiedziała zdumiona jego bezczelnością, ale zaintrygowana ciekawym zapachem przypraw i drewna, jaki od niego poczuła.

- Nie lubię, jak się lekceważy moje polecenia.

Szła za nim do salonu, starając się nie zwracać uwagi na jego wysoką, smukłą sylwetkę, ale było to trudne.

- Może nie wydawaj ich już więcej.

- Tara...

- Nie będę przyjmować twoich poleceń.

Odwrócony od niej tyłem, zamruczał.

- No tak, dokładnie tak, jak mówili.

- Kto mówił?

- Nic takiego. - Obrócił się do niej i spojrzał w oczy. - Taro, to jest poważne.

- Nie wiem, co to za sprawa i dlaczego tak się martwisz. - Próbowwała wyczytać coś z jego oczu. - Jane jest tu dobrze, ma opiekę.

- Obawiam się, że opieka pielęgniarska to nie wszystko.

- O czym ty mówisz? - spytała, zniecierpliwiona.

- Mówię o ochronie.

Tara popatrzyła na niego.

- Ochronie przed czym?

Wyglądał na spiętego i chociaż westchnął, nic nie powiedział. Ukrywał przed nią coś ważnego, była pewna. Ale wiedziała też, że nie ma sensu go namawiać, żeby coś powiedział.

Clint rzucił okiem na zdjęcie Tary z mamą, stojące na stoliku, po czym znów spojrzał na dziewczynę.

- Postanowiłem, że Jane zamieszka u mnie.

- Nie ma mowy.

- Ty też możesz jej towarzyszyć.

Na chwilę zaniemówiła z wrażenia, że ktoś próbuje urządzić jej życie bez jej udziału.

- Dziękuję za propozycję, ale zostajemy tutaj. -

Wzięła się pod boki. - I jeśli nie użyjesz przemocy...

- Uniósł brwi w zaciekawieniu. - To znaczy, jeżeli nie weźmiesz mnie na ręce i nie zanieziesz do... - Poczwała

gorąco w podbrzuszu, gdy świdrował ją wzrokiem. Zapłatała się. - Wiesz, co mam na myśli, Clint.

- Tak. - Podszedł do niej i zatrzymał się niebezpiecznie blisko. - Na szczęście dla nas obojga użycie siły w tym przypadku nie jest w moim stylu.

- Dobrze wiedzieć - odparła chłodno.

Westchnął i pokręcił głową.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Ty też, Andover, pomyślała.

- Przykro mi.

- Dobra - powiedział szybko - jeżeli planujesz ją tu trzymać...

- Mam zamiar.

- To przyjmij do wiadomości, że będę... w pobliżu.

Serce skoczyło jej do gardła.

- W pobliżu?

- Przyzwyczaj się do mojego widoku, Taro. - Podszedł do drzwi i zatrzymał się. - A następnym razem pamiętaj, żebyś mnie sama poprosiła do środka.

Patrzyła, jak wychodzi, i sama przed sobą nie chciała się przyznać, że zrobiło jej się smutno.

Mam się przyzwyczajać do jego widoku, zastanawiała się, układając się na kanapie pod tą samą kołderką, którą zaledwie piętnaście minut temu okryta była Jane. Przecież wyobrażała sobie twarz Clinta, cudowną, choć trochę onieśmielającą, od czasów gimnazjum. Nawet chłopak, z którym chodziła podczas stu-

diów, oraz jej jedyny mężczyzna byli porównywani z nim. Starła się nie myśleć o pocałunku Clinta sprzed lat i uczuciu ciepła, jakie ją wtedy ogarnęło.

Musi zwalczyć w sobie słabość do Clinta Andovera. Nie jest dla niej, chyba że wystarczyłby jej przelotny romans, ale wiedziała, że nie. Musi zapanować nad swymi pragnieniami przez jakiś czas. W końcu Jane nie będzie tu wiecznie. Gdy tajemnica zostanie wyjaśniona, wyjedzie wraz ze swym dzieckiem, Clint przestanie grać pierwsze skrzypce, a Tara będzie mogła powrócić do swego poświęconego chorym, rozsądnego życia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Matka i dziecko.

W salonie Marissy i Davida Sorrensonów, na dywanie, Jane bawiła się ze swoją małą córeczką, tuliła ją i śpiewała. Ten widok, w połączeniu z prawdziwie domowym zapachem duszącego się gulaszu, bardzo Tarę wzruszył.

Ponieważ była jedynaczką, czuła głęboką potrzebę opiekania się innymi. Spełniała ją w swej pracy pielęgniarki, ale nawet taka rozsądna osoba jak ona wiedziała, że jest coś więcej - mąż, dzieci, rodzina, że kochając, można również brać, nie tylko dawać. Powstrzymywało ją jeszcze jedno. Może mężczyzna, z którym będzie chciała dzielić życie, okaże się taki jak jej ojciec, który porzucił żonę i córkę dla innej, rodziny, a one zastanawiały się, co takiego złego zrobiły. Taki scenariusz ją przerażał.

Przyszłość taka, jak ją sobie zaplanowała, wydawała się wystarczająco pogodna i bezpieczna, a marzenia o własnej rodzinie można ukryć na dnie serca.

Podając Jane różowego pluszowego misia, uświadomiła sobie, że miała takie marzenia, odkąd pewien

błękitnooki chłopak wziął ją w ramiona i pocałował. Tara zadrżała, przypomniawszy sobie, jak Clint spojrział na nią wczoraj wieczorem. Sama jego bliskość i zapach powodowały, że miała nogi z waty. Medycznie niemożliwe, ale tak właśnie czuła. To wspomnienie też odłoży do lamusa.

Popiskiwanie małej wyrwały ją z tych rozmyślań i znów zwróciła uwagę na matkę i dziecko.

- Autumn bardzo urosła - powiedziała Tara z uśmiechem.

Jane promieniała, patrząc na córkę.

- A jaka jest śliczna.

- Jak mamusia.

- Dziękuję - powiedziała cicho Jane i wbiła wzrok w podłogę.

Tara delikatnie potrząsnęła ją za ramię.

- O co chodzi?

- Zastanawiam się, czy choć trochę podobna jest do swojego ojca - Jane spojrzała na nią z rozpaczą.

Tara cierpiała wraz z nią. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak może się czuć ktoś, kto nie ma przeszłości, tylko terażniejszość i niepewną przyszłość.

- To wszystko wróci. Trochę cierpliwości.

- Mam nadzieję. - Posadziła sobie córeczkę na kolanach i przytuliła. - Pamięć to taka dziwna sprawa.

- Masz rację.

Wspomnienia Tary były raz jak za mgłą, na przykład lekcje wuefu albo geometrii, a raz bardzo wyra-

ziste, na przykład różany zapach perfum matki albo uczucie, gdy Clint Andover objął ją ramieniem.

- Zobaczcie, kogo znalazłam przy drzwiach wejściowych.

Młoda mężatka, Marissa Sorrenson, rozpromieniona, weszła do pokoju prawie tanecznym krokiem. Tara nie знаła jej zbyt dobrze, ale podczas pobytu Jane w szpitalu rozmawiały kilka razy i ta drobna blondynka wydawała jej się szczerą i otwartą osobą, z cudownym mężczyzną u boku.

Za nią wszedł Clint Andover, który w dżinsach i czarnym swetrze wyglądał bardzo przystojnie. Najpierw objął wzrokiem uroczą scenkę, a potem przesywał wzrokiem Tarę, a może to były tylko jej marzenia.

- Cześć, Clint - powiedziała ciepło Jane.

- Dzień dobry, Jane i Autumn. - Skinął też Tarze.

- Siostró Roberts.

Dołeczek w policzku Marissy pogłębił się, gdy spytała:

- Zjesz z nami kolację, Clint? Ugotowałam więcej.

- Chętnie, ale nie dzisiaj - powiedział. - Czy mogę się wprosić na inny dzień?

- Oczywiście - Marissa skinęła głową.

- Dziękuję - uśmiechnął się do niej.

- Przyjechałeś zobaczyć się z Davidem?

- Niezupełnie.

- Więc z Jane i Autumn? - spytała z rozbawieniem.

- Częściowo.

Marissa spojrzała porozumiewawczo na Tarę, która miała ochotę schować się pod dywan, ale uznała, że to nie w jej stylu i odważnie popatrzyła na Clinta.

- Przyjechałem, żeby odwieźć Jane i Tarę do domu - wyjaśnił Clint - skoro ty je przywiozłaś tutaj.

Tara zmarszczyła brwi.

- Skąd wiesz, że to Marissa nas przywiozła?

- Pierwsza przesłanka była taka, że twój samochód stoi na twoim podjeździe. - Jane zachichotała, a Clint ciągnął dalej. - A druga to ta, że dowiedziałem się od Davida, że Marissa miała pokazać ci dzisiaj rano swoją nową terenówkę. - Puknął się palcem w skroń i podszedł do Tary. - Prosta dedukcja.

- Sprytne - podsumowała Marissa.

- Tak, bardzo sprytne - zgodziła się Tara z pobłażliwym uśmiechem. - Ale nie potrzebujemy transportu. Marissa nas odwozi.

- Teraz już nie musi.

- Ale...

- Daj młodemu małżeństwu trochę spokoju sam na sam - powiedział łagodnie, ale stanowczo Clint.

Tara przygryzła wargi. Nie była to żadna poważna decyzja i oczywiście nie chciała zabierać czasu Davidowi i Marissie, ale nie mogła poddać się Clintowi.

- Mogę ci pomóc? - stanął nad nią, wyciągając rękę.

- Dobra.

Marissa i Jane dyskretnie odwróciły spojrzenia

i skupiły się na dziecku. Pewnie sobie wyobrażają, że między Clintem a mną szykuje się jakiś romans, pomyślała Tara. Będę musiała wyprowadzić je z błędu.

Clint przyciągnął ją do siebie i szepnął:

- Mówiłem ci, że będę w pobliżu ciebie.
- Ale cały czas? - odpowiedziała również szeptem.
- Rano, wieczorem i w międzyczasie, jeśli zajdzie

taka potrzeba.

Poczuła, że robi jej się gorąco w związku z taką obietnicą, ale starała się zachować spokój.

- Jesteś bardzo oddany swojej pracy, Andover.
- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo - odpowiedział i w jego oczach pojawił się jakby błysk uśmiechu, po czym odsunął się od niej i powiedział głośno: - To co, moje panie, jedziemy?

Już od dawna nie odwoził kobiety do domu. Zza przyciemnionych szyb półciężarówki Clint obserwował nadchodzący zimowy wieczór, w którym ziemia i drzewa nabierały stalowego odcienia szarości.

Jane Doe, która usadowiła się wygodnie z tyłu, zasnęła, ledwo wyjechali z rancza. Clint i Tara mogli swobodnie rozmawiać.

Jednak Tara milczała, od czasu do czasu nucąc tylko to, co słyszeli w radio. Miała trochę ochryple, rozmazany głos, zupełnie inny, niż jej zwykły głos, gdy mówiła. Zastanawiał się, jakie jeszcze kryją się w niej sprzeczności.

Po piosence w stylu country słuchali teraz spokojnej ballady, którą znów nuciła. W samochodzie robiło się coraz ciemniej i Clint czuł, że jeszcze trochę, a rozmarzy się i nie oprze się pokusie, żeby ją objąć ramieniem i przytulić, jakby byli w jakimś kinie samochodowym, a nie na misji specjalnej w celu ochrony Jane.

Na razie zdecydował się na słowa, a nie czyny.

- Masz bardzo ładny głos.

Obróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Dziękuję. Dwadzieścia lekcji u pani Ellis.

Nie próbował ukryć zdumienia.

- Brałaś lekcje śpiewu?

- W dziesiątej klasie. Nikt nie wiedział, nawet moja mama. - Ściszyła głos, jakby obawiała się, że jest z nimi w samochodzie. - Nie pochwalałaby czegoś tak...

- Jakiego?

- Niepoważnego. - Westchnęła. - Pewnie uznasz, że to śmieszne, ale marzyłam kiedyś, żeby śpiewać zawodowo, w klubach jazzowych.

- Bluesa?

- Tak.

- Wcale nie uważam, żeby to było śmieszne.

Wzruszyła ramionami.

- Wiesz, byłam młoda...

- Wszyscy mamy marzenia, kiedy jesteśmy młodzi.

To bardzo ważne.

Spojrzała na niego, odwróciwszy się przez ramię.

- A ty kim chciałeś być, jak byłeś mały? Policjantem? Jeźdźcem na rodeo?

Jej pytanie przywołało wspomnienia. Znów miał dwanaście lat, był u babci. Przeglądał pudło z rzeczami rodziców, którzy sześć miesięcy wcześniej zginęli w wypadku samochodowym. Bardzo za nimi tęsknił, a kontakt z ich rzeczami, z ich pisanem jakoś go do nich przybliżał. Oboje pisali - ojciec był dziennikarzem, a matka powieściopisarką i poetką.

- Twoja pamięć tak daleko nie sięga? - zażartowała Tara.

- Trzydziestopięcioletni staruszek, co?

Zaśmiała się.

- To ty powiedziałeś.

- Pamiętam - powiedział, zjeżdżając z autostrady.
- Kiedy byłem dzieckiem, myślałem o tym, żeby zostać pisarzem. Chciałem pisać nowele, opowiadania pełne napięcia, takie sprawy.

Nic nie mówiła przez chwilę i Clint zaczął się zastanawiać, jak odebrała te rewelacje. W końcu szef firmy ochroniarskiej to znacznie mniej romantyczne zajęcie niż pisanie.

Po chwili westchnęła i zauważyła z pewną melancholią:

- Wygląda na to, że oboje chcieliśmy spróbować swoich twórczych możliwości.

Clint odważył się znów na nią spojrzeć. W świetle księżycy, z blond lokami swobodnie rozpuszczonymi,

wyglądała tak rozkosznie i wzruszająco, że miał wielką ochotę spróbować swych twórczych możliwości na niej.

Musiał jednak pamiętać o wypełnieniu swojej misji.

- Znikłeś z horyzontu po maturze - przywróciła go do rzeczywistości. - Co się z tobą działo?

- Poszedłem na studia, a potem do wojska.

- Do wojska?

- Oddziały specjalne.

- Tajemnica wojskowa?

Uśmiechnął się.

- Tak.

- No, to by wyjaśniało, dlaczego jesteś taki...

- Sztywny i poważny?

- I nieustępliwy - dodała, uśmiechając się przelotnie.

- Kiedy coś jest dla mnie ważne, kiedy czegoś naprawdę chcę, nic mnie nie powstrzyma. A ty, Taro?

- Co ja? - obróciła się w jego stronę, co było błędem. Jego profil w blasku księżyca wydawał się jak wykuty z granitu i zaczęła się zastanawiać, co by odczuwała, gdyby dotknęła go ustami? A czy jego usta były takie, jak pamiętała?

- A ty co, Taro? - spytał ponownie. - Co robiłaś po liceum?

- Zostałam w naszym mieście. Miałam jechać od razu na studia, ale...

- Co się stało?

- Mama zachorowała. Rak.

- Przykro mi.

- Dzięki. - Tara wspominała ją co dnia. Matka była wprawdzie surowa i bezkompromisowa, ale kochała córkę ze wszystkich sił. - Chciała jeszcze zobaczyć Irlandię, nim... Więc pojechałam z nią. A później, gdy zmarła, rozpoczęłam szkołę pielęgniarstwa.

- Byłaby z ciebie bardzo dumna.

- Taką mam nadzieję. Wiesz, strata kogoś, kogo się bardzo kocha... nie ma chyba nic gorszego.

W samochodzie zapanowała cisza i każde z nich zatopiło się w myślach. Tara dopiero teraz zorientowała się, że nie powinna tak mówić. Przecież on wciąż przeżywał śmierć żony, co zrozumiało. Podobno szalał za nią. Poznali się w knajpce „U Klary”, a pobrali się tydzień później. Myśl o tym, że taki twardy mężczyzna jest skłonny do wielkiej miłości, napawała ją podziwem i trochę zazdrością.

Kiedy podjechali pod jej dom, Tara chciała obudzić Jane, ale Clint ją powstrzymał.

- Daj jej spokój, zaniosę ją.

Uniósł śpiącą kobietę, jakby ważyła nie więcej niż dziecko, i wniósł do domu. I znów z zazdrością pomyślała, że chciałaby być noszona na rękach przez takiego mężczyznę. Szybko porzuciła to marzenie, wyjęła ze skrzynki pocztę, podniosła gazetę i weszła za Clintem do domu.

- Śpi w sypialni na górze - szepnęła do niego, po-

łożyła na szafce torebkę i wzięła do ręki coś, co wyglądało na pierwszą w tym roku kartkę świąteczną.

Nie miała tłumów przyjaciół, ale ci nieliczni zawsze o niej pamiętali i dzięki temu czuła się mniej samotna.

Nie była to jednak kartka świąteczna. Z przerażeniem oglądała kremowy arkusik grubego papieru w takiej samej kopercie. Wysłano ją tego ranka z Royal, bez adresu nadawcy.

- Kto? Dlaczego? - Czuła przyśpieszony puls. - Nie rozumiem,...

- Już ułożona - oznajmił Clint, schodząc po schodach. - Zdjąłem jej buty i przykryłem kocem, a może ty później... Tara? - Spojrzał na nią, zdumiony.

Podbiegł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Co się stało?

- Przepraszam, Clint.

- Za co?

Skłoniła głowę na jego rękę, poszukując w nim oparcia.

- Mówiłeś, żeby jej strzec, a ja nie rozumiałam...

Pokręciła głową.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - starał się zachować spokojną twarz. - Co się stało?

Pokazała mu drukowany list.

- To. Właśnie przyszło. Napisano tu, że Jane jest złodziejką i kłamczucha. - Serce jej łomotało, gdy mówiła dalej: - Piszą, że ukradła małą Autumn.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Czy mogę na to zerknąć? - Prośba Clint'a była raczej żądaniem, ale tym razem Tara była zbyt zmartwiona, żeby się obrażać.

Boże, kiedy ostatnio tak jej drżały ręce, pomyślała, podając mu list. Chyba w pierwszych tygodniach szkoły pielęgniarstwiej. Wtedy było to oczywiste, nowa sytuacja, ambitna studentka, która bała się, że popełni błąd... Teraz, po tym liście z okropnymi oskarżeniami, bała się zupełnie inaczej.

Popatrzyła na Clint'a. Siedział skupiony, czytając list po wiele razy, jakby chciał znaleźć w nim jakiś punkt zahaczenia.

- Co o tym myślisz? - spytała. - To znaczy, dlaczego ktoś wysłał...

- Nie mam pojęcia, ale obiecuję, że się dowiem.

- To musi być kłamstwo, Clint. - Nie odpowiedział. Wziął kremową kopertę i ustawił pod światło. - Jestem pewna, że to dziecko Jane. Każda kobieta potrafi rozpoznać matkę i jej dziecko, zwłaszcza kobieta, która...

- Która co? - Clint spojrział na nią.

Przestąpiła z nogi na nogę, usta jej zadrżały. Nie musiała mu tłumaczyć. Wiedział, że marzyła o własnej rodzinie, o dziecku, takim słodkim jak Autumn.

- Po prostu potrafię odróżnić prawdę od kłamstwa, na kilometr. Zawsze umiałam. I nie mam wątpliwości, że Jane jest matką Autumn.

Myślała, że Clint będzie nalegał na konkretną odpowiedź, ale powrócił do listu, który oglądał pod światło.

- Zgadzam się. Nie sądzę, żeby było to zbliżone do prawdy.

- Słuchaj, ty się zajmujesz podobnymi sprawami, więc co o tym myślisz? Czy Jane grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- Myślę, że jest to zawołowana pogroźka - oznajmił, znów patrząc na nią.

Pogroźka. Dziwne, Tara nie lękała się krwi, igieł, zamieszania. Mogła siedzieć dniami i nocami przy krzyczących z bólu i umierających pacjentach, a teraz, kiedy miała do czynienia z czymś nieznanym, nad czym nie umiała zapanować, ogarnął ją strach. Cała ta sytuacja nie miała sensu. Dlaczego ktoś miałby grozić Jane? Skąd takie oskarżenia?

Clint spojrział na nią zatroskany i powiedział:

- Jesteś blada jak ściana.

Potrząsnęła głową i skłamała:

- Nic mi nie jest.

Obrócił ją twarzą do siebie i położył ręce na jej ramionach.

- Nieprawda, drżysz.

- To nic takiego.

- To naturalne, żeby się bać w takiej sytuacji.

- Ja się nie boję - sprzeczała się, starając się od niego odsunąć, bo zaczynała się już trząść.

Clint jednak trzymał ją mocno.

- Przede mną nie musisz odgrywać silnej i dzielnej pielęgniarki. Nie jestem twoim pacjentem.

- Niczego nie odgrywam...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo delikatnie wziął ją w ramiona. Nie próbowała się bronić. Przyłgnęła do niego, czując ciepło jego ciała. Poczowała się bezpiecznie, tak bezpiecznie, że nie miała ochoty się ruszyć, chciała być w tej pozycji, wdychać jego zapach i wyobrażać sobie, że to jakiś cudowny sen, w którym są tylko oni oboje.

- Wszystko będzie dobrze - szeptał w jej włosy.

Gardło jej się ścisnęło, bo tak dawno nikt do niej w ten sposób nie mówił. I bardzo chciała mu wierzyć.

- Clint...

- Przysięgam, Taro, nikt cię nie skrzywdzi.

- Martwię się nie tylko o siebie.

- Wiem.

Na moment odsunęła się odrobine, żeby spojrzeć na niego.

- Co zrobimy...

- Cii - położył palec na jej ustach. - Będziecie obie bezpieczne. Obiecuję.

Jego zwykły dotyk uspokoił jej umysł, ale zaniepokoił zmysły. Dlaczego on tak na mnie działa, zastanawiała się. Jak kobieta może tak bardzo pragnąć mężczyzny? Przestała się bać, tylko zastanawiała się teraz, jak czułaby jego dotyk gdzie indziej, na policzku, szyi, między piersiami. Na moment się zapomniała i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Pragnę... pragnę... - nie skończyła zadania. Nie mogła tego powiedzieć głośno, nawet sobie samej.

Patrzył na nią z pożądaniem, trzymając ją z tyłu za szyję. Zaraz mnie pocałuje, pomyślała. Pocałuje mnie, a ja stracę głowę.

Ale nie zrobił tego. Walczył z sobą, walczył z nią. Nie miała pojęcia dlaczego.

- Musimy być ostrożni, Taro.

Spojrzała na niego, on na nią. To dwuznaczne wyrażenie nie uszło jej uwagi. Wyplątała się z jego objęć, odsunęła się na bezpieczną odległość i dała sobie czas na ochłonięcie i powrót do rzeczywistości.

Clint westchnął, oparł się o blat kuchenny i powiedział.

- Przepraszam, Taro. Trzeba ci było powiedzieć, że istnieje zagrożenie, ale pomyślałem, że może lepiej...

- Powiedz mi? - przerwała, znów czujna. - Co takiego powiedzieć?

- Kilka tygodni temu ktoś usiłował się dostać do sali szpitalnej, w której była Jane.

Serce w niej zamarło.

- Co?

- Przeszkodziłem mu, ale zdołał uciec.

- O, mój Boże.

Patrzył na nią przez przymknięte oczy, jak jastrząb.

- Ktoś próbował też porwać Autumn ze szpitala.

- Dziecko? - Jej przerażenie było bezgraniczne.

- Nie martw się, u Sorrensonów jest bezpieczna.

Jane zawołała ją z góry, a Tarę opanował kompletny zawrót głowy. Nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić. Ten list, opory Clinty, żeby ją pocałować, teraz ta nowa informacja. Przeraziła się, że się rozklei, a nie może sobie na to pozwolić. Musi zachować spokój. Jane jest wciąż jej pacjentką, a ona jest za nią odpowiedzialna.

- Już idę - odchrzyknęła i zwróciła się do Clinty.

- Muszę do niej iść.

Skinał głowę.

- Ja też mam robotę.

Jednak nie ruszył nawet w kierunku drzwi.

- Możesz iść, nic nam się nie stanie - zapewniała go z ciężkim sercem. - Mam numer twojej komórki, więc w razie potrzeby zadzwonię.

- Nie chcę cię zostawiać.

Wiedziała, co miał na myśli, ale postanowiła nie zachowywać zbyt osobistego tonu.

- Będziemy z Jane bezpieczne.

Nie wydawał się przekonany.

- Problem w tym, że mój asystent wyjechał i muszę sam sprawdzić ten Ust.

- Rozumiem. Musimy jak najprędzej zebrać jak najwięcej informacji.

- Musimy?

- Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci to robić beze mnie?

Spojrzał poważnie i powiedział równie poważnym tonem.

- Właśnie tak myślę. Poza tym mam wystarczająco wielu pomocników.

Jasne, miał tych swoich kompanów ze słynnego Teksańskiego Klubu Ranczerów.

- Zrozum, Clint, że za Jane i Autumn ja również czuję się odpowiedzialna. Zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że istnieje niebezpieczeństwo, chcę im pomóc.

- Posłuchaj, Taro...

- Nie, jeśli chcesz mojej współpracy, musisz mi pozwolić na pomoc.

Schwycił ją za rękę i obrócił twarzą do siebie.

- Gdybym chciał, miałbym was obie u siebie w domu za godzinę - ostrzegł.

- Ale tego nie zrobisz - odpowiedziała, czując jego ciepło, od którego robiło się miękko w kolanach. - Nie chcesz niepokoić Jane, nie chcesz, żeby dowiedziała się o liście i...

Zawahał się na moment, po czym puścił jej rękę i cofnął się.

- Dobrze, dobrze, wygrałaś. Na razie. - Podeszedł do drzwi. - Zamknij je dobrze. Na zewnątrz pilnuje dwóch moich ludzi, ale nigdy za wiele ostrożności.

- Dwóch ludzi? Kiedy to zrobiłeś?

- Są tu od chwili, gdy przywiozłaś Jane do swojego domu. Dobranoc, Taro.

- Dobranoc - mruknęła, niezupełnie udobruchana. Nie wiadomo, o czym jeszcze jej nie powiedział. Czuła się jednak pewniej, wiedząc, że nad Jane czuwa dwóch Strażników.

- Do zobaczenia rano! - zawołał, nim zamknęła drzwi.

- Rano - szepnęła do siebie, opierając głowę o chłodne drewno. Nienawidzę siebie za to, westchnęła, ale nie mogę się tego doczekać.

Usiadł za biurkiem i w ciemności przyglądał się przez okno miastu, którym zaczynał pogardzać. Ludzie tu byli prości, bez odrobiny wyrafinowania. Na szczęście dla niego w ogóle nie byli zbyt lotni. Poza tą grupą bogatych kowbojów, którzy udaremniili jego pierwszy krok do sukcesu.

Tym razem nie będzie się nikim wysługiwał. Tym razem pan doktor będzie kierował. A jeśli wszystko pójdzie według planu, za dwa tygodnie będzie miał, czego chce, i w drogę.

Na jego ustach pojawił się uśmiech. Pielęgniarka na pewno dostała jego list. Ta dziewczyna może mu przysporzyć problemów, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, on sobie poradzi.

Nawet chciałby, żeby tak się stało...

Dla Clinta Andovera te święta niczym się nie różniły od pozostałych. Praca, sport, znów praca. Boże Narodzenie nie stanowiło okazji do świętowania, bo stracił do tego chęć trzy lata temu, wraz z resztkami wiary.

Ale tu w Royal, w Teksasie, panowała atmosfera świąteczna. Gdy zaszło słońce, rozbłyły kolorowe lampki, w świeżym powietrzu unosił się zapach sosen, a na chodnikach i w kafejkach widać było radosne twarze przechodniów.

Kiedy był mały i żyli rodzice, czekał na te święta z utęsknieniem, na rodzinne biesiadowanie, na przyjęcie Świętego Mikołaja. Później miał nadzieję, że znów kiedyś odczuje magię tych świąt, patrząc na nie z perspektywy swych własnych dzieci. Skoro jednak tak potoczyło się jego życie, musiał święta kompletnie ignorować, żeby dotrzeć do stycznia o zdrowych zmysłach.

Zatrzymał się przy wjeździe do domu Tary i skinął głową swojemu człowiekowi.

- Dobry wieczór - powitała go Tara szerokim uśmiechem. Wyglądała wyjątkowo uroczo w jasnoróżowym swetrze i obcisłych džinsach. - Trzy wizyty w ciągu jednego dnia. Robisz postępy.

- Staram się. - Aż go ręce swędziały, żeby ją przytulić, ale się powstrzymał, gdyż dość miał tego rodzaju kłopotów.

- Może wejdiesz? Tu jest chłodno.

- Nie, dziękuję. - Miał inne plany, co wiązało się z jej wyjściem.

- No, dobrze. Masz jakieś informacje na temat listu?

- Jeszcze nie.

- No i co dalej?

- Cierpliwość jest cnotą, sostro Roberts.

Roześmiała się jeszcze serdeczniej.

- Nie podejrzewam ciebie o tę cnotę, Andover.

- A o co mnie podejrzewasz?

- Może o tyranie?

Oparł się o drzwi i westchnął:

- Mówiłem to już wcześniej i teraz powtórzę: kłopoty.

- To pewnie o mnie - roześmiała się perliście. - Więc jeśli nie chodzi o list i nie wchodzisz do środka, czy mam przypuszczać, że przyjechałeś w innej sprawie?

- Właściwie tak. Chciałbym cię zaprosić na kolację.

- Za to, że nie powiedziałeś mi całej prawdy o tej sytuacji?

- Coś w tym rodzaju. - Dokładnie to, jak utrzymywał sam przed sobą, szukając wymówki.

- A co z Jane? - spytała niewinnie.

- Przecież Marissa ją zabrała godzinę temu. Jeden z moich ludzi za nią pojechał. My tutaj czuwamy. -

Zarumieniła się. Zaczął myśleć o innych okazjach, w których mogłaby się rumienić, i wyobraził sobie różowy sweterek na podłodze swojej sypialni. - Jesteś gotowa?

- Wiesz, to mogłoby wyglądać na randkę.

- I co z tego?

- Chciałbyś, żeby mówili o nas w całym Royal?

- Nic mnie to nie obchodzi i nigdy nie obchodziło, co ktoś pomyśli.

Na twarzy Tary pojawił się uśmiezek, który przypomniał mu ten miły moment z wczorajszego wieczora, a który niestety nie zakończył się pocałunkiem, na jaki oboje mieli ochotę.

Wydawało się, że mają oboje wiele wspólnego. Oboje się bali. Ona - utraty kontroli, on - że będzie potrzebował cokolwiek lub kogokolwiek. Czy potrafią to pokonać? Wziąć od siebie to, co mają do ofiarowania? Zaklął pod nosem. Nie wie, po prostu nie wie.

- No więc? - spytał, wyciągając do niej rękę.

Schwyciła ją i uśmiechnęła się.

- Hamburger w małej knajpcie, to brzmi zachęcająco.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dobry wieczór! - Sheila Foster, ulubiona kelnerka wszystkich gości w Royal Diner, powitała Tarę i Clintę z uśmiechem, gdy weszli do załączonych restauracji. - Stoliczek dwuosobowy? - zaszczebiotała. Swoją opięty różowy mundur zastąpiła dziś świąteczną czerwienią, w kolorze swej szminki.

- Tak, dziękujemy - odpowiedziała Tara, starając się nie okazywać skrępowania, gdy przemiła kelnerka przypatrywała się Clintowi, jakby naprawdę byli parą.

On nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Objął Tarę lekko w pasie i zwrócił się do kelnerki:

- Masz coś przy oknie, moja piękna?

Czterdziestokilkuletnia kobieta uśmiechnęła się załotnie.

- Dla ciebie wszystko, Clint, przecież wiesz o tym.

- Tak, wszystko, oprócz randki.

Piękna? Randka? Tara nie wierzyła własnym uszom. Ten ponurak flirtował i żartował! Bardzo jej się taki podobał i zapragnęła, by zachowywał się tak i uśmiechał z jej powodu.

- Kochasiu, chciałabym cię nauczyć wszystkiego,

co wiem o miłości, ale nie dam rady. - Nachyliła się do Clinta i wyznała konspiracyjnym szeptem: - Za dużo mi się nazbierało tych wielbicieli - po czym mrugnęła i pokazała, żeby szli za nią.

- Zwłaszcza ten jeden - Clint wskazał głową w kierunku kuchni, z której właśnie wyrżał właściciel i szef kuchni, Manny Reno.

- Wesołych Świąt! - uśmiechnął się do nich.

Clint i Tara pomachali mu i usiedli przy oknie, w pobliżu grającej szafy. Odtwarzała płyty z połowy lat czterdziestych, aktualnie Nat King Cole'a, ulubioną piosenkę Tary „A Christmas Song”.

- To co ma być? - spytała Sheila, wyciągając notesik i ołówkę. - Manny zrobił dziś pyszne chili.

Clint spojrział pytająco na Tarę.

- Myślę, że weźmiemy befsztyki i frytki.

Tara skinęła głową i dodała:

- I napoje miętowe.

Clint spojrział na nią zdumiony i zaniepokojony.

- Skąd pamiętałaś?

- Nie wiem, tak mi przyszło do głowy.

Nigdy nie pili razem napoju miętowego, ale rozmawiali o tym, że to ich ulubiony, tamtego pamiętnego wieczoru w Royalty Park. Całowali się, tulili i rozmawiali. Były to takie dziecięce rozmowy, na temat ulubionych filmów, programów telewizyjnych, przedmiotów szkolnych i ulubionych lodów.

- Jeden napój i dwie słomki?

Tara spojrzała, zaskoczona, a Sheila czekała, uśmiechając się.

- Nie, dwa napoje i dwie słomki - odpowiedział sucho Clint.

Kiedy Sheila nareszcie odeszła, zaśmiał się.

- Ale z niej pistolet.

- Jeszcze jaki. Ale wiesz, że naszą niewinną rozmówkę o napoju miętowym będzie jutro znało całe miasteczko.

Wzruszył ramionami.

- Nie obchodzą mnie plotki i ciebie też nie powinny.

- Dbam tylko o twoją dobrą opinię, Andover - starała się utrzymać go w tym dobrym nastroju.

- Coś takiego - nachylił się w jej stronę. - Więc co o mnie mówią?

- Muszę się skupić - spojrzała w sufit, jakby szukając natchnienia. - Mówią, że jesteś słodkim, wrażliwym człowiekiem, który rozgląda się w obie strony przed przejściem przez jezdnię i kłania się wszystkim sąsiadom.

- Taki harcerzyk?

Skinęła głową.

- Teraz widzisz, dlaczego nie chcę zszargać twojej opinii.

- Wygląda na to, że przydałoby się jej trochę zszargania - zmierzył Tarę wzrokiem od stóp do głów.

- A ja wiem, kto by się chętnie tym zajął - powiedziała od niechcienia.

- Kto taki? - spytał, starając się odgadnąć jej myśli.
- Sheila, oczywiście.
- Nie w moim typie.
- A kto jest w twoim typie? - nie mogła się powstrzymać.

- Chyba mam słabość do takich, co sprawiają kłopoty - powiedział ciszej.

Poczuła nagłe przyspieszenie pulsu i musiała zmusić się do głębokiego oddechu. Gdzie to jedzenie, zastanawiała się, zerkając w kierunku kuchni, jakby stamtąd miało przyjść jakieś wybawienie. Inaczej nie ręczy za swoje zachowanie. Może na przykład nachylić się teraz do Clint'a i poprosić, żeby ją pocałował.

Tak wysilała wzrok, że nie zauważyła zbliżającej się Sheili, swojej wybawicielki, tylko osobę, której widok natychmiast popsuł jej humor. Ubrany był zbyt elegancko, jak na wieczór w Royal, w granatowy garnitur, starannie odprasowany, białą koszulę i krawat w turecki wzór. Wysoki, szczupły mężczyzna, stojący przy barze, z pogardliwym uśmiechem czytał menu.

Clint zauważył jej spojrzenie.

- Kto to jest?
- Niejaki doktor Belden.
- Z twojego szpitala?
- Tak, jest nowy.
- Poznają po twoim głosie, że jest z nim problem.
- Miałam z nim do czynienia tylko parę razy, ale zawsze był arogancki i nieprzyjemny. Wiadomo, że od-

nosi się pogardliwie do pielęgniarek, ale słyszałam, że i przy pacjentach nie najlepiej się zachowuje. Ale to nie tylko to.

- A co jeszcze?

- Coś, czego nie potrafię określić.

W tym momencie Belden spojrzał na nią, natychmiast ją poznał i skinął głową. Nie pozostawało nic innego, jak odwzajemnić ten gest, chociaż ciarki jej przeszły po plecach.

- Co powiedziałaś? - spytał Clint.

Była wdzięczna, kiedy pojawiła się Sheila i postawiła jedzenie na stoliku. Tara sięgnęła po ketchup i zmusiła się do uśmiechu.

- Na pewno nic ważnego.

„Cześć, Tara, tu Jane. Autumn dzisiaj marudzi, więc postanowiłam zostać na noc u Davida i Marissy. Wiesz, jak bardzo za nią tęsknię i chciałabym być przy niej i ją utulić, jeżeli znowu będzie płakała. Pozdrów ode mnie Clinta. Zadzwoń rano, pa”.

Tara wykasowała nagranie z automatycznej sekretarki, po czym zwróciła się do Clinta, stojącego przy barze w kuchni.

- Jane cię pozdrawia.

Zauważyła na jego twarzy rozbawienie.

- Tak, słyszałem.

Czy słyszał też, jak jęknęło jej serce, gdy zdała sobie sprawę z tego, że wrócili do pustego domu? I że przez

resztę wieczoru będą w nim sami? Nie będzie im nikt przeszkadzał, a na piętrze nie będzie w gościnnej sypialni żadnej przyzwoitki?

Clint widocznie opacznie zrozumiał jej nastrój, bo podszedł do niej i objął ją ramieniem.

- Nie martw się, będzie bezpieczna u Davida. Jest byłym wojskowym, a poza tym jeden z moich ludzi czuwa przed domem.

Poczuła gorąco od jego dotyku.

- Wiem.

- Ale nie jestem pewien co do ciebie.

Spojrzała na niego, zmieszana.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Sama, tutaj.

- Och - zaśmiała się. - Ja jestem w porządku.

Wyciągnął rękę i odgarnął jej kosmyk włosów z policzka.

- Tak, jesteś.

Kolana się pod nią ugięły od tego dotyku, ale nie spodobał jej się ten ton.

- Dziękuję, ale...

- Co ale?

- Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś był na mnie zły.

Odwrócił się, gotów wyjść, po czym westchnął, wrócił i przyciągnął ją do siebie.

- Bo jestem zły, do diabła.

Trzymał ją tak mocno, że ledwo mogła się odezwać.

- Dlaczego?
- Nie rozumiesz? Bo nie chcę tego.

Cudowna bliskość, jego biodro przy jej brzuchu, łaskotanie zarostu na policzkach...

- Tego? - wyjąkała. - Tego, że mnie trzymasz, dotykasz? Czego?

- Ciebie. Nie chcę pragnąć ciebie.

Przesuwał rękami po jej plecach, pieścił jej szyję, a Tara patrzyła na niego. Chciała mu powiedzieć, że ona też się boi zawsze, kiedy są razem, że odkrył romantyczną stronę jej duszy, że już nie ma ochoty dłużej się kontrolować, ale nie dał jej okazji. Zamknął jej usta gorącym pocałunkiem.

Miała ochotę płakać, albo krzyczeć z radości, ale szkoda było każdej sekundy. Gdy odwzajemniała jego głęboki pocałunek, poczuła, że robi jej się słabo i musi się o coś oprzeć. Sięgnęła ręką na blat i w tym momencie rzuciła na ziemię stos papierów i korespondencji. Ten odgłos przywrócił ich rzeczywistości, oderwali się od siebie i zarumienieni, patrzyli na siebie z poczuciem winy.

- Przepraszam - wymamrotała bez sensu, nie wiedząc, czy ma się jakoś tłumaczyć z tego, że uległa, czy z tego, że się przed tym broniła.

Chciała na moment uniknąć jego lazurowego spojrzenia, więc rzuciła się do zbierania papierów.

- Pomogę ci - Clint ukląkł obok niej.

- Nie trzeba, ja... O, Boże - wstrzymała oddech i ze strachu zmartwiała.

- Co takiego?

Ręce jej drżały, gdy podała mu długą kremową kopertę, taką samą, jak ta od wczorajszego listu.

Clint zaklął.

- Daj, ja to otworzę.

- Myślisz, że będę takie listy dostawała codziennie?

- Nie odpowiedział, tylko rozdarł kopertę. - Przeczytasz głośno? - spytała, wstając.

- Nie.

- Clint, mam prawo to przeczytać, koperta jest adresowana do mnie.

- Dobrze - ustąpił. Stanął obok niej i przeczytał:

- „Ta suka, którą chronisz, jest oszustką i złodziejką”.

- Boże - westchnęła Tara.

Clint spojrzał znad kartki.

- Ktokolwiek to pisał, jest wkurzony, jak diabli.

- Ale na Jane i Autumn? Dlaczego?

- Tego właśnie mam zamiar się dowiedzieć.

- Czy myślisz, że ta osoba może użyć siły?

- Jeśli będzie zdeterminowana, wszystko się może zdarzyć.

Ucieszyła się, że Jane jest u Davida i Marissy. Jest tam bezpieczna i nic nie wie, co się wydarzyło.

- Muszę to dostarczyć do laboratorium - powiedział Clint z żalem w oczach - sprawdzić odciski palców. Może tym razem był na tyle nieostrożny, że zostawił jakiś ślad.

- No tak, oczywiście.

Było to zupełnie nie w jej stylu, takie egoistyczne podejście, ale bardzo nie chciała, żeby dokądkolwiek stąd odchodził. Wprawdzie na zewnątrz pilnował jej strażnik, ale bardzo pragnęła obecności Clinta, jego rąk, których dotyk przynosi pociechę. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pragnęła, żeby ktoś się o nią troszczył. I nie chodziło tu o spędzenie z nim jednej czy dwóch nocy, póki sprawa się nie wyjaśni.

Omam nie jęknęła głośno. Co się z nią dzieje, nie jest przecież jakąś głupią małą kobietką, musi się wziąć w garść. Podeszła do drzwi i je otworzyła.

- Mam nadzieję, że tym razem coś znajdziesz.

Clint nie poszedł za nią, tylko usiadł na kanapie.

- Jak powiedziałem, trzeba to dostarczyć do laboratorium. To nie znaczy, że się tam wybieram.

- Co takiego?

- Nie zanoszę tego listu.

- Ale musisz, i to zaraz. Potrzebujemy tej informacji jak najszybciej.

- I będziemy ją mieli. - Wyjął swój telefon komórkowy i wcisnął klawisz. - Doug, przyjedź jak najprędzej na 3351 Duncan Hill Road.

Gdy skończył i schował telefon do kieszeni, spojrzął na nią.

- Mój asystent już wrócił. Zabierze list do laboratorium i dziś go zbada.

- Jeżeli to chodzi o chronienie mnie...

- A jeżeli tak?

Tara bardzo starała się nad sobą zapanować i powiedziała z pewnością siebie:

- Powiedziałam ci, że tego nie potrzebuję.
- A ja ci powiedziałem, że będę się tu kręcił.
- Ale to chodziło o Jane.

Wyciągnął w jej kierunku kopertę z jej nazwiskiem.

- Teraz chodzi też o ciebie.
- Jestem w pełni zdolna...
- Już postanowione.

Był niemożliwy. Ona zresztą też. Razem stanowili niezłą mieszankę wybuchową. Żadne nie było skłonne do kompromisu czy ustępstw.

- Ja zresztą i tak już idę spać.
- Nie przeszkadzaj sobie.

- I... co? Sam wyjdiesz, jak będziesz gotowy? - spytała, podchodząc do niego.

- Nigdzie się dzisiaj nie wybieram. To znaczy, wybieram kanapę.

Zalało ją gorąco. Spędzi noc tutaj, zaledwie kilka metrów od jej łóżka. To chyba jakiś sprawdzian, zesłany przez siły wyższe. Istniała możliwość, że go nie zda.

- Gdybyś mogła mi rzucić jakąś poduszkę i koc...
- Oczywiście. Jeszcze coś?

- Myślę, że to wystarczy. - Wyciągnął się na kanapie i podłożył sobie ręce pod głowę. Spojrzał jej w oczy.

- Chyba że będziesz chciała mnie utulić do snu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miała wciąż to samo łóżko, w którym spała jako nastolatka. Było to sosnowe łożo z baldachimem, które jako dwunastolatka zobaczyła w jakimś ilustrowanym magazynie i odtąd odkładała każdego centa ze swego kieszonkowego, żeby je kupić.

Mama uznała to za zakup mądry i praktyczny, ale dla niej uczyła się przyjemność. Mogła w nim się ukryć, śnić i oddawać marzeniom, w których stawała się, kim tylko chciała. Miejsce, w którym choć na trochę mogła przestać być rozsądna i w którym było jej dobrze.

Teraz, leżąc w jasnoniebieskiej pościeli, nie mogła zasnąć i nie czuła się wygodnie. W jej domu przebywał mężczyzna. Zawładnął jej umysłem i czuła go nawet tutaj, mimo że ledwo jej dotknął. Może to obietnica dotyku, jego męski, czysty zapach, który poczuła, zanosząc mu poduszkę i koc, tak na nią podziałał.

Zrobiło jej się gorąco, a zaraz potem zimno i ogarnęło ogromne pragnienie, które dopiero co rozpoznawała. Spojrzała na zegarek. Wpół do drugiej. Jeszcze

tyle godzin do świtu. Jak ma zasnąć, kiedy prześladują ją takie myśli i doznania?

Ciekawe, co z Clintem? Czy śpi, czy leży wyciągnięty na kanapie, z jedną ręką pod głową i ma ten sam problem co ona? Pokręciła głową i spojrzała w sufit. Naprawdę pójdzie sprawdzić?

Diabeł zwyciężył anioła, którego tak prosiła o pozostanie, i zmusił ją do zerwania się z łóżka.

Cały dom nią pachniał. Wanilia i coś kwiatowego, od czego mężczyzna mógł oszaleć, jeśli wachał zbyt długo.

Clint obrócił się na kanapie, która była zdecydowanie za krótka dla mężczyzny jego wzrostu. Nie miało to zresztą znaczenia, bo i tak nie miał zamiaru spać. Po pierwsze, czekał na wiadomość od swego asystenta w sprawie listu, po drugie, nie chciał obudzić się w domu Tary zlany potem po swoim makabrycznym śnie.

Usłyszał delikatne kroki, poprzez hol w kierunku kuchni. W ciszy domu rozległo się bardzo kobiece kichnięcie. Uśmiechnął się szeroko, ale nie ruszył z kanapy.

- Nocny głód?

Usłyszał dźwięk przerażenia, po czym odezwała się:

- Słucham?

Obrócił się i zapalił lampę. Delikatne światło wypełniło pokój.

- Nie podejrzewałem cię, że należysz do tych, co podjadają w nocy.

Nie odpowiedziała od razu i zaczął się zastanawiać, czy po cichu nie wycofała się do swojego pokoju, ale nagle jej twarz pojawiła się za oparciem kanapy.

- Na ogół nie - odpowiedziała.

Wyglądała tak pięknie, bez makijażu, z włosami koloru miodu spadającymi na ramiona i błyszczącymi zielonymi oczami. Jej biała bawełniana nocna koszulka była nieco przezroczysta, ukazująca zarys figury. To, co Clint zobaczył, spowodowało, że miał ochotę natychmiast ją schwycić, przesadzić przez oparcie kanapy i wziąć w objęcia.

- A dzisiaj czujesz głód? - spytał, bez zastanowienia, żeby zaraz pożałować tej dwuznaczności.

Delikatna poświata oświetliła jej oczy, w których zapaliła sięjakaś iskierka, ale nie zareagowała na jego śmiałą aluzję.

- Pomyślałam, że zrobię gorącej czekolady - powiedziała, spoglądając w kierunku kuchni.

Skinął głową.

- Niezły pomysł.

- Czy tobie też zrobić?

Nie miał nastroju na gorącą czekoladę.

- Jasne. Pomóc ci?

- Nie, wszystko jest pod kontrolą - odpowiedziała, kierując się do kuchni.

- To chyba życiowe motto, co?

Wysunęła głowę zza drzwi.

- Moje czy twoje, Andover?

- Nas obojga.

- Tak. - Znów znikła w kuchni. - Bywa bardzo męczące.

- Co takiego? - Poszedł za nią. - Panowanie nad wszystkim?

- Jak byłam dzieckiem, było to zło konieczne. Mój sposób życia tego wymagał.

Stała przed kuchenką, a padające z góry światło dawało nowy i jeszcze bardziej interesujący obraz tego, co znajdowało się pod koszulką.

- A teraz? - spytał. - Czy dalej musisz być taka zasadnicza?

Zadrżała jej ręka, gdy napełniała czajnik wodą.

- Prawdę mówiąc, chętnie wzięłabym kilka dni urlopu.

Clint oparł się o blat i zadał jej pytanie, które stawił sobie tyle razy.

- Co byś robiła przez te kilka dni?

- Odetchnęłabym, byłabym egoistką. Pozwoliłabym sobie na to, żeby brać, nie tylko dawać. - W milczeniu wsypała czekoladę w proszku do dwóch kubków. - Nie wiem, dlaczego to mówię.

- Słyszałem, że po północy można bezkarnie być szczerym.

- Szkoda, że tak nie jest - westchnęła.

- Może być.

- Ale tylko między nami, dobrze?

Próbował nie poddawać się tej władzy, jaką nad nim

miała, ale gdy patrzeli sobie w oczy, stawał się bezbronny. Podeszła do niego, wpatrzona w szufladę, którą blokował swoim biodrem.

- Przepraszam, potrzebuję łyżeczkę.

Nie odsunął się, tylko podał jej rękę i przyciągnął do siebie. Nie był świętoszkiem, lubił kobiety, ale niczego im nie obiecywał, wiedziały, że jest ich na jedną noc. Z tą nie było tak prosto. Instynkt go ostrzegał, że jedna noc może nie wystarczyć, dlatego starał się na nią uodpornić. Bezskutecznie.

Uniósł do ust jej dłoń, pocałował jej wnętrze i wyszeptał:

- Możesz przy mnie zachowywać się, jak chcesz, i mówić, co chcesz.

- To taka zasada, Andover?

- To obietnica - poprawił.

Co on wygaduje? Przecież on nie składa obietnic.

- Wobec tego - powiedziała Tara - czy jest coś, co ty chciałbyś mnie powiedzieć, wyrzucić z siebie?

Jakby prąd go przeszył, gdy poczuł na szyi jej gorący oddech. Zadrzała mu skóra na wstętnej bliźnie na piersi, której nawet jej nie miał zamiaru pokazywać. Miała mu ta blizna przypominać, żeby trzymał się z dala od takich intymnych, uczuciowych sytuacji.

- Nie możemy tego powstrzymać, prawda? - spytała, wpatrując się w niego oczami błyszczącymi jak szmaragdy.

- Nie możemy.

- Więc może pozwólmy, żeby wszystko potoczyło się własnym rytmem.

- Może.

Po raz pierwszy w życiu Clint nie był pewien, co robić, od czego zacząć. Chciał jej dać wszystko, czego pragnęła, jej chęć swobody, pragnienie brania, nieskrępowanej niczym wolności.

On też tego pragnął.

Jednak gdy położyła mu ręce na piersi, zapomniał na moment o tym i zareagował gwałtownie. Nie pozwalał kobietom tam się dotykać, nawet przez koszulę. Ujął jej ręce i odsunął do tyłu. Ona jednak się nie wycofała, tylko przysunęła bliżej i szepnęła:

- Wiem o twojej bliźnie.

Zadrzał. Ta noc, pożar - o tym wiedzieli wszyscy w Royal, ale blizna?

- Skąd możesz wiedzieć?

- Pracowałam na oddziale oparzeń kilka miesięcy po... wypadku.

- A pielęgniarki sobie o tym rozmawiały, tak?

- Nie, nie. - Spojrzała na jego usta, a później znów w oczy. - Omawialiśmy to w związku z innym przypadkiem.

Zaśmiał się gorzko i mruknął:

- Kolejny uszkodzony członek społeczeństwa.

Przez moment zeszywniała, ale zaraz spod długich rzęs błysnęło rozbawione spojrzenie, a na wargach pojawił się uśmiech.

- O ile pamiętam, to pielęgniarki zachwycały się twoim ciałem i koniecznie uważały, że trzeba cię myć całego gąbką dwa razy dziennie.

Ścisnął ją mocniej. Jak ona to robi? Zawsze potrafi go rozbroić i zamiast złości pozostaje tylko podziw dla niej i pożądanie. Nie czekając na odpowiedź na swoje nieme pytanie, nachylił się i lekko uchwycił zębami jej wargi.

Jęknęła, ale zdołała powiedzieć:

- Nigdy nie dotknę twojej blizny, Clint, dopóki mnie nie poprosisz.

- Nigdy cię nie poproszę.

Zamknął jej usta spragnionym pocałunkiem, rozkoszując się tym słodkim, waniliowo-kwiatowym zapachem. Lada moment Tara zda sobie sprawę z tego, że popełniają poważny błąd, i odepchnie go od siebie.

Była rozkosznie naturalna, czuł, jak przywiera do niego biodrami, jak bardzo pożąda, i to właśnie jego. Niezwykle przyjemne doznanie.

- Clint...

- Nie myśl, Taro. Dla dobra nas obojga nic nie myśl.

Jego ręce wędrowały teraz po jej plecach, szyi, wpiły się we włosy. Całowali się długo, smakując się wzajemnie, i wiedział, że nigdy nie będzie jej miał dość. Zatracił się w tym szaleństwie. Nie myślał o tym, co będzie jutro, pojutrze czy za pięć minut. Kierował się instynktem, a jeśli go zawiedzie, to trudno.

Uniósł jej nocną koszulkę i jego ręka wędrowała teraz po jej udach, aż dotarła do wycięcia majteczek.

Za nimi, na kuchence, woda gotowała się, bulgocząc.

Gdyby teraz Tara wykonała jeden ruch, kierując się w stronę sypialni, kanapy czy dywanika przed kominem, nic by go nie powstrzymało. Nie ruszyła się jednak. Nie zdążyła. Irytujący dźwięk telefonu komórkowego w jego kieszeni zdecydował za nich. Clint zaklął.

- Chyba musisz go odebrać?

Znów zaklął i odsunął się od niej.

- To chyba mój asystent. Prosiłem go, żeby koniecznie zadzwonił, jak tylko będą wyniki badań laboratoryjnych.

- Potrzebne ci są te wyniki.

- To, co mi teraz potrzebne...

- Nie, Clint, nie mów tak.

Ostry dźwięk telefonu odbijał się echem w cichym domu.

- Odbierz ten telefon.

Poczucie obowiązku walczyło w nim z pożądaniem, ale jak zwykle zwyciężyło. Podeszedł do kanapy, skąd rozlegał się ten przejmujący dźwięk, i rzucił do telefonu szorstkie : „Halo”. Usłyszał odpowiedź, której nie chciał usłyszeć.

- Przykro mi, szefie. Ten list jest czysty.

Następnego dnia Tara pojechała po Jane do Sorrensonów i wybrały się do miasta po zakupy świąteczne. Było słonecznie, niezbyt ciepło, bez wiatru, doskonała pogoda na to, żeby zostawić samochód na parkingu i przejść się główną ulicą Royal w poszukiwaniu jakiegoś oryginalnego prezentu czy niezwyklej ozdoby choinkowej.

Tara zaproponowała to wyjście, w nadziei że dzięki temu zapomni o wczorajszej nocy, o ile to możliwe. Jego pocałunek, dotyk, jej reakcja... Tak bardzo pragnęła więcej, a dostała to, na co sama sobie zasłużyła - zimną samotność szorstkiej niebieskiej pościeli.

Po tym jak przekazał jej wiadomość od swego asystenta, opuściła Clinta i kuchnię i poszła do łóżka. Nigdy jej łóżko nie wydawało się takie samotne i puste, ale tylko tu mogła się schronić przed uporczywą myślą, co jest właściwe, a co nie, i przed obezwładniającym pragnieniem. Clint nie zapukał do jej drzwi. Może żałował tego epizodu, a może, podobnie jak ona, nie wiedział, co dalej z tym fantem zrobić.

Gdy wstała, jego już nie było, ale zostawił liścik informujący, że musi dziś sprawdzić jakieś poszlaki, a na zewnątrz jej domu znajduje się wciąż strażnik. Czytała notatkę trzy razy w nadziei, że znajdzie jakieś „PS” z rodzaju „zobaczymy się wieczorem”. Nie znalazła.

- Jaki piękny dzień.

Ta deklaracja Jane przywróciła Tarę do rzeczywistości.

- Ładny. Lubię, jak jest chłodno, wtedy jest bardziej świątecznie.

Jane zatrzymała się przed wystawą sklepową, wskazując na staroświecką kolejkę.

- Patrz, jakie rozkoszne.

- Dla ilu osób musisz coś kupić?

- Mam trochę pieniędzy, które były w torbie z pieluchami, kiedy zemdlałam w tamtej restauracji i chciałabym kupić jakiś prezent dla Davida i Marissy. Może coś dla Harry'ego.

- Dla Harry'ego? - spytała Tara, unosząc brwi w zdziwieniu.

Uśmiechając się, Jane wskazała na mężczyznę, który szedł za nimi.

- Mojego ochroniarza.

- Jasne, jak mogłam zapomnieć. Więc David, Marissa i Harry. Jeszcze ktoś?

- Oczywiście moja Autumnn.

- Oczywiście.

- A ty?

- Parę drobiazgów dla pielęgniarek z mojego szpitala.

- I to wszystko?

- Jeszcze coś dla ciebie i Autumnn.

Jane wzięła ją pod rękę, gdy lawirowały między tłumem przechodniów.

- Twoja przyjaźń jest dla mnie najwięcej warta. To najwspanialszy prezent.

- To niedobrze - zachichotała Tara - bo i tak coś dostaniesz.

Śmiejąc się i podziwiając świąteczne dekoracje na ulicy, zbliżały się do małego butiku.

- Więc - kontynuowała Jane - pielęgniarce, ja, Autumn i ktoś jeszcze jest na twojej liście? Ktoś bardzo przystojny?

Stały przed sklepem.

- Jane, jakoś głupio się uśmiechasz.

- Ktoś, kto okazał się bardziej miły niż niegrzeczny?

- Co? - Tarę zatkało.

- A może odwrotnie - mrugnęła Jane.

- Czy ja się rumienię, czy to od zimna?

Obie wybuchły śmiechem. Jak dobrze mieć przyjaciółkę, pomyślała Tara, z którą można się ze wszystkiego pośmiać.

- A więc - Jane szturchnęła ją w bok - co Clint chciałby na Gwiazdkę?

- Nie mam pojęcia.

- A ja mam - uśmiechnęła się szelmowsko Jane.

- Już widzę ciebie, ubraną w dużą czerwoną kokardę i nic więcej.

Tara udała zgorzelenie.

- Jest w tobie dużo z niegrzecznej dziewczynki, Jane.

- Pewnie masz rację. Szkoda, że nie pamiętam - westchnęła.

- Przypomni ci się, zobaczysz. Chodźmy do sklepu, a ja pomyślę o kokardzie. I pamiętaj, że musimy kupić choinkę.

- Choinka! - wykrzyknęła Jane radośnie. - Z ozdobami, pierniczkami, gwiazdkami?

- I z aniołkiem na czubku.

- Dziękuję, że tak mi pomagasz, Taro. Twoja przyjaźń i całe to domowe ciepło tyle dla mnie znaczą.

- Twoja przyjaźń też dla mnie bardzo wiele znaczy.

Uścisnęły się i weszły na schodki do butiku. Tara zatrzymała się na moment. Czuła, że ktoś ją obserwuje. Było to nieprzyjemne, dziwne uczucie. Spociły jej się dłonie, które trzymała na poręczy. Przepuściła Jane i rozejrzała się.

Z początku nie zauważyła nic nadzwyczajnego, po prostu ludzie robiący zakupy, więc zaczęła przypuszczać, że może na jej nastrój wpłynęła obecność ochroniarza i tajemnicze listy. Nagle go zauważyła. Stał przed księgarnią, wpatrując się w nią ciemnymi oczami.

Doktor Beldon.

Ich spojrzenia spotkały się tylko na chwilę, bo zaraz się odwrócił i poszedł dalej. Jednak nieprzyjemne wrażenie pozostało i nie opuszczało jej.

Nie wiedziała dlaczego.

- Tara, idziesz?! - zawołała Jane z wnętrza butiku.
- Już, oczywiście! - odkrzyknęła, starając się brzmieć bez troski.

Żeby pozbyć się dreszczy, przechodzących jej po plecach, wzięła głęboki oddech i weszła do sklepu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przed Clintem, w sączącym się przez okna klubu słabym porannym świetle, leżały dwa listy.

Zwołał nadzwyczajne zebranie zaledwie pół godziny temu, a koledzy wcale nie marudzili z powodu wczesnej pory. Choć zaspani, włożyli na głowy kowbojskie kapelusze i przybiegli natychmiast, gotowi do akcji.

- Więc żadnych odcisków palców? Żadnego włosa? - spytał Ryan, pochylając się nad stołem bilardowym. - Nic, co naprowadziłoby nas na ślad tego drania, co przysyła pogróżki?

Clint przesunął dłonią po nieogolonej brodzie.

- Kompletnie nic.

- Ten idiota jeszcze pożałuje, że z nami zadarł.

Clint łyknął czarnej jak smoła kawy. Jak to, do diabła, możliwe, żeby nie miał żadnych śladów, mimo dwóch listów i dwóch prób porwania dziecka ze szpitala? Zajmował się tą robotą od lat, ale nigdy nie był taki bezradny. Zresztą wszyscy oni przyzwyczajeni byli do tego, że panują nad każdą sytuacją, a ta wymykała im się spod kontroli.

- Pracują nad tym moi najlepsi ludzie - zapewnił ich. - Rozwiązę to.

David, rozparty w skórzanym fotelu, skinął głową.

- Do diabła, nawet gdyby to oznaczało mieszkanie u Tary, póki się wszystko nie wyjaśni, rozwiązę to - mruknął Clint do siebie, ale koledzy go usłyszeli.

Alex się uśmiechnął.

- To się nazywa oddanie sprawie.

Ryan zachichotał.

- Prawdziwe poświęcenie.

Clint spojrział na nich ponuro i podszedł do okna. Na wspomnienie pielęgniarki o szmaragdowych oczach miał przyśpieszony puls. Pożądanie i chęć chronienia jej łączyły się w jedno. Cokolwiek jest między nim a Tarą, nie powinno go odciągać od obowiązku. Nie może pozwolić, żeby druga kobieta w jego życiu została skrzywdzona. Nawet jeśli będzie przebywał w jej domu, musi się starać zachowywać jak zawodowiec.

Spojrział na zegarek. Tara miała nocny dyżur w szpitalu. Może pojedzie teraz do niej do domu, zwolni swojego człowieka na kilka godzin i poczeka na nią razem z Jane.

- Jeśli nikt nie ma nic więcej do powiedzenia - powiedział do kolegów - możemy się rozejść i spotkamy się, jeśli tylko coś się wydarzy.

Ryan skinął głową, a Alex powiedział z kamienną twarzą:

- Pozdrów od nas swoją pielęgniarkę.
- Jesteście największe dupki w Royal - powiedział Clint, odstawił kubek po kawie i wyszedł.

- Annie, włączyłaś kroplówkę panu Youngowi?
Pulchna brunetka uśmiechnęła się do Tary.

- Oczywiście.
- To świetnie, dzięki.

Tego ranka w szpitalu było dość spokojnie. Na jej piętrze było siedmiu pacjentów, którzy albo jedli śniadanie, albo odpoczywali. Doskonały moment, żeby napisać raport, co robiła w rekordowym tempie.

- Spieszysz się - powiedziała Annie, popijając napój dietetyczny.

- Chcę szybko wrócić do domu i sprawdzić, co z Jane.

- A jak ona się czuje?

- Dobrze. Lepiej. - Przez chwilę Tara zastanawiała się, czy nastrój jej gościa będzie dalej taki dobry, gdy dowie się o drugim liście.

- Więc - zaczęła Annie przyciszonym głosem, żeby nie słyszał jej młody urzędnik, siedzący w pobliżu - czy pan Cudowny wciąż jej pilnuje?

- Kto? - spytała Tara, wpatrując się w swój raport.

- Clint Andover.

- Tak, pilnuje. - Pilnuje nas obu, chciała powiedzieć, ale postanowiła zachować tę informację dla siebie.

- U ciebie? - naciskała Annie.

Tara skinęła głową.

- Ale fajnie. - Młody urzędnik podniósł głowę. -
To nie do ciebie, Donaldzie.

Zarumienił się i wrócił do pracy.

Tara sprostowała szeptem:

- Właściwie jest to problem.

Annie mało się nie zakrztusiła.

- Cudowny mężczyzna w domu, opiekuńczy, śpiący w twoim domu, tylko w bokserkach! Kochana, chciałabym mieć taki problem.

Annie była może trochę wścibska, ale nie było w niej cienia złośliwości i Tara naprawdę bardzo ją lubiła. Zresztą wszystkie pielęgniarki były dla niej jak rodzina, może jedyna, jaką kiedykolwiek będzie miała.

- Wygląda na to, że pan Cudowny będzie miał konkurencję - szepnęła Annie.

- Konkurencję? - spytała Tara, nie rozumiejąc.

- Tak - Annie wskazała głową za siebie. - Ze strony doktora Tajemniczego.

Tara spojrzała w tamtą stronę, sądząc, że to jakiś żart, ale przy windzie stał sztywno doktor Beldon. Patrzył wprost na nią groźnym wzrokiem.

- Dostaję gęziej skórki, jak go widzę - szepnęła Annie.

- Wczoraj i jeszcze dzisiaj - mruknęła Tara, bardziej do siebie, niż do niej.

- Co takiego wczoraj?

- Widziałam go w mieście. Prawdę mówiąc, nawet kilka razy.

- No, wiesz, Royal nie jest takie duże i od czasu do czasu człowiek na kogoś wpada.

- Pewnie masz rację.

Tara nie była pewna, czy koleżanka właściwie oceniła sytuację. Była pewna, że Beldon się nią interesuje, nie wiedziała tylko, z jakiego powodu. I nie było to miłe uczucie.

Gdy wszedł do windy i drzwi się za nim zamknęły, Annie mruknęła:

- Może mu się podobaasz.

- Boże, mam nadzieję, że nie.

- Nie jest taki zły.

- Nie, ale nie jest... - Tara ugryzła się w język.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Nie jest to Clint Andover, chciałaś powiedzieć?

Tara wzięła głęboki oddech i pokręciła głową.

- Mam robotę.

- Zawsze masz robotę. Zostaw sobie trochę czasu na przyjemności.

Te słowa to był miód na jej serce, bo odkąd na jej drodze pojawił się wysoki ciemnowłosy i nieziemsko przystojny ochroniarz, taka myśl jej nie opuszczała. Tylko co by jej dała taka przyjemność?

Natychmiastowa rozkosz, tak. Zaspokojenie dawnej ciekawości, tak. Clint's usta, ręce i jego ciało przy *jej*

ciele na noc lub dwie, tak. Ale czy to jest warte złamanego serca, gdyby uległa pokusie? A tak właśnie by się stało.

Clint był człowiekiem złamanym, który unikał bliskości jeszcze bardziej niż ona, nawet nie pozwoliłby jej dotknąć blizny. Nie ma tu żadnej przyszłości.

Tylko teraźniejszość. Czy ma się w nią rzucić, wiedząc, że gdy tylko tajemnica Jane zostanie rozwikłana, ich romans się zakończy?

Nagły dźwięk dzwonka oderwał Tarę od tych rozmyślań i odpowiedzi na to pytanie. Annie dotknęła jej ramienia.

- Ja odbiorę, a ty idź do domu.

- Jesteś pewna?

- Nie ma sprawy, kochana.

Tara uśmiechnęła się do niej.

- To chyba pan Carey ze 102. Od piątej rano alarmował już z pięć razy.

- To ten podszczyrywacz, tak?

Zaśmiała się.

- Tak.

- Dzięki za ostrzeżenie - odpowiedziała Annie i ruszyła w kierunku sali 102.

Gdyby tylko wiedziała, pomyślała Tara, o tej nocy z Clintem w kuchni, jak przez moment się zapomniała i upajała się zapachem, smakiem i dotykiem tego mężczyzny.

Była prawie dziesiąta rano, gdy Tara zatrzymała się przed swoim domem. Ponieważ całą noc spędziła w szpitalu, nie zauważyła, jak bardzo zmieniła się pogoda. Niebo poszarzało, a w powietrzu czuło się chłód, który mógł się zaostriżyć.

Wchodząc do domu spodziewała się zastać przyjaciółkę przy szykowaniu śniadania. Jednak to nie Jane robiła omlety i smażyła boczek.

- Dzień dobry, siostró Roberts.

W kuchni stał Clint w T-shircie, džinsach i z bosymi stopami. Wyglądał niesamowicie seksownie i mimo że była bardzo zmęczona, pomyślała, jak dobrze byłoby zapomnieć o wszystkich zasadach, podbiec do niego i przytulić się.

- Nie widziałam twojego samochodu przed domem - powiedziała, zdejmując płaszcz, który powiesiła w garderobie w holu.

- Mój asystent mnie podwiózł. Jego samochód jest w warsztacie.

- Aha.

- Nie chciałem cię przestraszyć...

- Nie przestraszyłeś, to znaczy... nic się nie stało.

Rzuciła torebkę na stolik w holu i weszła do kuchni.

- Gotujesz?

- Pomyślałem, że dobrze by ci zrobiło jakieś śniadanie.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie musiałeś.

- Chciałem. Nic takiego, tylko śniadanie.

Jednak dla Tary to było wydarzenie. Od momentu, gdy stała się dorosła, nikt nigdy nie przygotowywał dla niej posiłku, chyba że w restauracji. A tu w dodatku mężczyzna, który spoglądał na nią tak, jakby chciał schrupać ją na śniadanie.

Patrzyła teraz, jak Clint dzieli na pół świetnie usmażony omlet, z którego spływa ser, i kładzie go na dwa talerze, a następnie dokłada chrupiący boczek.

- Sok pomarańczowy?

- Oczywiście.

Ta cała scena śniadaniowa z jednej strony bardzo jej się podobała, z drugiej sprawiała, że czuła trochę, jakby się... poddawała. Jakby przyjmując tę ofertę, traciła nad sobą kontrolę. Clint Andover pozbawił ją resztek rozsądku.

- Może być tak usiadła przy stole? - spytał, podając jej dwie szklanki z sokiem. - Chyba będzie wygodniej, niż stać przy blacie?

- Czy mam obudzić Jane i spytać, czy chce wziąć udział w tej uczcie?

Jane bardzo by się teraz przydała, choćby jako przypomnienie, dlaczego ten bosonogi przystojniak znajduje się w jej kuchni.

- Jane tu nie ma.

- Co? - szklanki zadrżały, gdy postawiła je na stole.

- Wszystko w porządku. Jane wstała dzisiaj wcześ-

nie i koniecznie chciała zobaczyć Autumn, więc zawieźliśmy ją z moim asystentem na ranczo, a ponieważ Sorrenson jest dziś cały dzień w domu, obiecał strzec jej jak oka w głowie. Stwierdziliśmy, że lepiej będzie, gdy ja będę tu, na miejscu, na wypadek, gdyby przyszedł kolejny list.

- No tak, oczywiście.

- Więc jesteśmy tylko ty i ja do tej uczty - powiedział, stawiając na stole dwa pełne talerze.

- Właśnie. - Ty i ja pod pretekstem śledztwa, oczywiście. - Coś mam przynieść? Widelce?

- Nie - uniósł rękę ze sztućcami. - Siadaj, wyglądasz na wykończoną.

- Jestem. - Siadła i zabrała się do śniadania. - Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

- Czy jajka i boczek to już gotowanie?

- Jak na faceta, to tak.

Zatrzymał widelec w pół drogi do ust i skrzywił się.

- Co takiego? - spytała niewinnie.

- To było bardzo seksistowskie.

Tara pomyślała chwilę, pokiwała głową i przyznała:

- Masz rację, przepraszam. Nie wyglądasz mi na kogoś, kto lubi sterczeć w kuchni.

- Bo nie lubię, ale przy odpowiedniej motywacji - patrzył jej prosto w oczy - mężczyzna może zrobić prawie wszystko.

Zapaliły jej się światełka ostrzegawcze, ale nie powstrzymały jej od zadania pytania:

- Odpowiedniej motywacji?
- Głodna, zmęczona i bardzo piękna kobieta, która dbała o innych całą noc, a może całe życie. - Sięgnął do jej talerza, odłamał kawałek bekonu i włożył jej do ust. - Może teraz trzeba zadbać o nią.

Jego spojrzenie było tak hipnotyzujące, że miała ochotę odsunąć wszystko i wyciągnąć do niego rękę. To wszystko było jak bajka. Clint Andover, jej szkolna miłość, w dzinsach i koszulce podkreślającej mięśnie, siedzi u niej w domu i karmi ją, przemawiając jak do swojej kobiety. Czy byłoby to kompletnie zwariowane, gdyby teraz go do siebie przyciągnęła i pocałowała?

- O czymś myślisz, Taro? - spytał.

O czymś? Ciekawe.

- Nie.

- No to zjadaj.

Omlet był pyszny, lekki i puszysty, faszerowany serem, a boczek chrupki i smaczny, chociaż oczywiście najlepszy był ten kawałek, który on jej włożył do ust.

Kiedy zjadła, odchyliła się w krzesło i uśmiechnęła.

- Dziękuję. Było pyszne. - Dotknęła ręką żołądka.
- Jestem opchana.

- I pewnie zmęczona?

- Tak.

- To może kąpiel przed spaniem?

- Słucham?

- Kąpiel. Podobno kobiety to kochają. Pianka, bąbelki i moczenie się godzinami.

- Myślę, że niektóre kobiety tak.

- Ale nie ty?

Ostatni raz kąpała się w wannie jako dziecko. Nigdy nie miała na to czasu.

- Zawsze uważałam, że to strata czasu.

- Czy nie mówiłaś wczoraj wieczorem, że potrzebujesz trochę oddechu, trochę swobody?

- Nie pamięć...

- Oczywiście, że pamiętasz. - Wpatrywał się w nią intensywnie. - Wsadzę cię do wanny, Taro. - Wstał od stołu i ruszył do łazienki. - Może jedno z nas przestanie tak się kontrolować! - zawołał.

- Tak? A dlaczego to mam być ja? - odskrzyknęła bojowo, słysząc, jak woda leje się do wanny.

Mówił poważnie, pomyślała i wyprostowała się w krześle, jakby w ten sposób chciała umknąć jego zabiegów. Powstrzymała histeryczny śmiech.

- Chodź tutaj! - doszło ją wołanie poprzez szum wody.

- A co z naczyniami?

- Ja się tym zajmę.

Wstała i na miękkich nogach doszła do łazienki. Stanęła w drzwiach i starała się nie okazywać zdenerwowania. Nie było łatwo.

Światło było zgaszone, paliły się dwie świece, które trzymała w schowku na wszelki wypadek. W powietrzu unosił się waniliowy zapach płynu do kąpieli. Clint stał przy wannie pełnej piany.

Omali nie uciekła.

Prawda była taka, że w tym miejscu nie było nigdy romantycznych uniesień. Piana w wannie nie była konieczna. Mydło i świece miały wyłącznie wartość praktyczną. A seksowni faceci nie szykowali śniadań i kąpieli zmęczonym pielęgniarcom. Aż do dzisiaj.

W jego ciemnych oczach odbijał się płomień świec.

- Nie próbuj tego analizować, Taro. Po prostu przyjmij.

Nie mogła spytać, ale nie mogła też nie zapytać.

- Czy tu zostajesz?

- Nie. To jest dla ciebie. To wszystko, co na razie mogę ci zaoferować. A teraz wyskakuj z tego kombinezonu i wchodź do wody.

Zwilżyła wargi, ale nic nie powiedziała, nie poruszyła się. Nie wiedziała, skąd rozchodził się dźwięk jej pulsu, bo słyszała jego pukanie wszędzie. Clint stanął przed nią i powiedział wprost:

- Mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

Rozbierze ją, pomoże jej wejść do wanny i pójdzie. Była to straszna myśl, ale nie chciała, żeby odchodził. Chciała, żeby zdejmował z niej ubrania, jedną część po drugiej, chciała widzieć jego twarz, jego oczy, gdy będzie odchodził. Chciała zobaczyć, czy na niego działa.

- Chciałabym, żebyś mi pomógł - powiedziała cicho, jakby właśnie zawarła pakt z diabłem.

W jego oczach rozbłysło pożądanie.

- Podnieś ręce w górę.

Zawahała się na moment, bo jeszcze nigdy tak się nie obnażała. Spięta, uniosła ręce w górę. Westchnął ciężko, obejmując ją w talii, ściągnął jej przez głowę niebieską bluzę i Tara została w cienkiej białej koszulce. Uniósł brew.

- Dalej?

Albo ogarnęło ją jakieś szaleństwo, albo teraz dopiero objawiała się prawdziwa Tara. Nie wiedziała, ale nic jej to nie obchodziło. Znów uniosła ramiona i opadła z niej kolejna część garderoby.

- Nie przestanę, dopóki mi nie każesz - powiedział, trzymając ręce na zapięciu biustonosza.

Skinęła głową.

Usłyszała klik i poczuła ręce Clint'a na swych ramionach. Zsunął ramiączka i następna część garderoby spadła na podłogę.

- Dokończ to - powiedziała, wiedząc, że się w nią wpatruje i to z powodu jego wzroku, a nie ciepłego powietrza czuje gorąco na nagich piersiach.

Poczuła w talii jego palce i po chwili nie miała na sobie roboczych spodni i została w samych tylko białych majteczkach. Otworzyła wtedy oczy i zobaczyła, że stoi tuż przed nią, z groźnym spojrzeniem, jak zwierzę, które odmawia pożywienia.

- Woda stygnie - wykrztusił.

- Pewnie tak.

Stała przed nim, prawie naga i bezbronna.

Przeciagnał dłońmi po włosach.

- Tara...

- Co?

Widziała jego walkę, taką samą, jak ona staczała z sobą. Ale ona była zdecydowana, choć na krótko, poddać się. On nie.

- Wyniosę się.

- Clint...

Przeszedł obok niej.

- Miłej kąpieli.

Świece zamigotały, waniliowy zapach stał się intensywniejszy. Zmysłowa atmosfera pozostała. Jednak drzwi zamknęły się, a tym samym znikła jej nadzieja. On się sprawdził i wygrał. „Miłej kąpieli”.

- Spróbuję - szepnęła w ciszę, patrząc na leżące na podłodze ubrania.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Clint siedział przy jej łóżku, patrząc na trójkątną twarz, cienie padające na pełne usta i kości policzkowe.

Ubrana była w seledynowy podkoszulek na ramiączkach i nie wiadomo co, ukryte pod kołdrą. Wyglądała pięknie i dziewczęco, a jednak była niewątpliwie kobieca. Miał okazję podziwiać jej kształty dziś rano, gdy światło świec podkreślało każde wgłębienie i każdą wypukłość. Pozwolił sobie na wspomnienie jej kremowej skóry, wąskiej talii, zaokrąglonych bioder i pełnych piersi.

A jednak od niej odszedł. Dlaczego? Żeby ją chronić? Żeby chronić siebie przed pokusą, której się nie mógł oprzeć, przed pożądaniem, jakiego żadne z nich dotąd nie doświadczyło? Które mogło zniszczyć ten cienki pancerz ochronny, jaki oboje sobie wypracowali, żeby już nigdy nie cierpieć?

Siedział obok niej z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Odczuwał przemożną chęć, żeby być w pobliżu tej kobiety. Nie tylko dlatego, żeby ją chronić, ani żeby zaspokoić pożądanie, ale coś więcej.

Zrozumiał, że kiedy Tara jest w pobliżu albo ich spojrzenia się spotkają, albo gdy wymawia jego imię, on staje się innym człowiekiem, którego sam ledwo poznaje. Staje się mężczyzną, a nie chodzącym trupem, jakim był przez ostatnie trzy lata. Żyje. I niezależnie od tego, że uczucie to budziło jego niepokój, było zbyt przyjemne, żeby próbował z niego rezygnować.

Tara poruszyła się przez sen. Zatrzepotała rzęsami i uniosła powieki. Dwa zielone jeziorka spojrzały na niego bez strachu, z lekkim zdziwieniem. Był na sobie wściekły. Chciał wyjść z pokoju, zanim ona się obudzi.

Powiedziała trochę ochrypłym, zaspanym głosem.

- Dzień dobry.

- Już prawie dobry wieczór - powiedział z uśmiechem.

- Która godzina?

- Niedługo piąta.

Przerażona, usiadła natychmiast.

- Zmarnowałam cały dzień.

- Nie, Taro, jesteś dokładnie tam, gdzie powinnaś być.

Wyglądała tak słodko, a jednocześnie seksownie, że Clint miał wielką ochotę znaleźć się pod jej kołdrą, być obok niej, pod nią, na niej, gdziekolwiek, gdzie ciało dotyka ciała.

- Ale ty nie jesteś tam, gdzie powinienes, prawda?

- Zauważyłaś?

- Może jestem trochę nieprzytomna, ale tyle wiem.

- Nie jesteś nieprzytomna, jeszcze trochę zmęczona.

- To ta kąpiel - uśmiechnęła się cierpko. - Za bardzo uspokajająca.

Nie mógł się powstrzymać. Nachylił się i szepnął jej do ucha.

- Na mnie podziałała dokładnie odwrotnie.

- Bardzo ci tak dobrze, Andover.

- To nie dlatego, że cię nie pragnąłem, Taro. Pragnąłem cię za bardzo.

Skinęła głową i odetchnęła głęboko, ale widział po jej zielonych oczach, że jego odejście ją zabolowało.

- Czy coś się stało? - spytała lekko. - Czy Jane dzwoniła?

- Nic się nie stało. Jane dzwoniła. Razem z Marissą i Autumn robią ozdoby choinkowe. Nie chciało jej się wyjeżdżać, więc posłałem tam na noc Harry'ego. Skoro są tam we dwójkę z Sorrensonem, dadzą sobie radę beze mnie.

- Więc?

- Więc ja zostaję tutaj.

- Skoro Jane jest bezpieczna, to dlaczego... - pomachała ręką w jego kierunku.

- Chyba nie przyjmiesz wytłumaczenia, że cię ochraniam?

- Niezupełnie.

- Prawdę mówiąc, mam pomysł.

Uniosła brwi z ciekawości.

- W tej właśnie sprawie? Powiedz mi, czy są jakieś nowe dane?

- Nie. Chodzi o to, żebyś się ubrała i wyszła na zewnątrz.

Odczekała kilka sekund i spytała:

- I niczego więcej się nie dowiem?

- Nie, kochanie.

Ten dziwny ból, który czuł w łędźwiach, gdy obserwował ją śpiącą, ulokował się teraz w klatce piersiowej. Kiedyś wpakuje się w poważne tarapaty, jak będzie tak się do niej odzywał. Nie zareagowała na to czułe słówko i nie był pewien, czy poczuł ulgę, czy rozczarowanie.

Z szarych chmur zaczął padać śnieg, pokrywając równo Royal Park. Tara siedziała obok Clinta w altanie i podziwiała czar parku pokrytego pierwszym śniegiem. Wiele lat temu w tej altanie schronili się młodziutcy zakochani przy swym pierwszym pocałunku. Teraz tu wrócili, ale jak się to zakończy?

Postanowiła zachowywać się tak, jak czuje, nie zważając na żadne konwenanse ani na to, co postanowił Clint. Z tym mężczyzną nie będzie niczego żałowała. Gdy cała historia z Jane się wyjaśni, powróci do swego zwykłego życia, ale do tego czasu czuje się wolna. I bardzo pragnie Clinta.

Teraz wszystko zależało od niego, czy przyjmie to, co ona mu chce ofiarować.

- Kiedy ostatnio tu byłem, było lato - powiedział Clint, opierając się o cienką ściankę altany.

- Pamiętam. Naprawdę nie byłeś tu od tamtego czasu?

- Nie. A ty?

Pokręciła głową.

- Myślałam o tym, że gdy kiedyś będę miała rodzinę, to ich tu przyprowadzę.

- Jasne.

- A ty nie myślałeś o tym samym? - Ledwo je wypowiedziała, chciała cofnąć te słowa. Jak mogła być tak bezmyślna? - Przepraszam, Clint, ja...

- Nic takiego.

- To było bardzo niedelikatne.

- Już się stało.

Zgodnie ze swoją opiekuńczą naturą, chciałyby go teraz pocieszyć, przytulić, gdy będzie jej opowiadał, jak się czuł, gdy stracił żonę i nadzieje na rodzinę.

Od chwili, gdy się ponownie spotkali po latach, kiedy członkowie Teksańskiego Klubu Ranczerów przywieźli Jane do szpitala, Tara czuła, że on wciąż przeżywa śmierć żony w pożarze. Oczywiście, na zewnątrz to skrywał, ale ona czuła, co działo się za tą spokojną, nawet cyniczną, fasadą. Uznała jednak wtedy, że jego przeszłość to nie jej sprawa i ma on swój własny sposób na uporanie się z bólem.

Teraz, po tych kilku tygodniach, nie była już pewna, co jest, a co nie jest jej sprawą.

- Wiesz - westchnęła - właściwie przyszedłam tu kiedyś. Prawie.

- Naprawdę?

- Tak. To było z innym facetem.

Spojrzał na nią rozżalony.

- A ja myślałem, że to miejsce jest święte.

- Jest - potwierdziła słodko.

- To jak pani mogła, siostró Roberts?

Zaśmiała się.

- Powiedziałam, że prawie tu przyszedłam.

- Hmm - zmarszczył się. - Więc kto to był ten facet?

- Ronnie Pemberton, student.

- Brzmi poważnie.

Tara westchnęła na wspomnienie ambitnego młodzieńca, spragnionego kobiecego zainteresowania, każdego zainteresowania jego osobą.

- Myślałam, że tak będzie.

- A Ronnie?

- On to potraktował jak rozrywkę na przerwę międzysemestralną.

- Idiota.

- Byliśmy smarkaci.

- Nawet smarkacz powinien docenić, co dobre.

- Tak uważasz?

Schwycił ją za ramiona i delikatnie obrócił do siebie.

- Tak uważam.

Starła się zachować żartobliwy ton, ale kiedy był tak blisko, traciła pewność siebie.

- Szkoda, że ciebie tu wtedy nie było.

- Dlaczego? - spytał, wędrując ręką od jej ramienia do obojczyka i patrząc wciąż w oczy.

Zadrżała od tego spojrzenia.

- Mógłbyś mu nagadać.

- Nie jestem mocny w gębie. - Jego dłoń spoczywała teraz na jej szyi, a palcami skręcał jej włosy. - Mógłbym najwyżej spuścić mu porządne lanie.

- On miał czarny pas - wykrztusiła z trudem, gdy zbliżał się coraz bardziej, wpatrzony w jej usta.

- Był idiotą.

Nachylił twarz i zakrył jej usta swoimi wargami. Tara zamknęła oczy. Jego dotyk, jego palce w jej włosach, gdy przyciągał ją jeszcze bliżej, pogłębiając pocałunek, to były czary. Rozkosz, jaką odczuwała, zmieniała się co chwilę, raz w okolicy ust, raz piersi, a potem podbrzusza. Kiedy oderwali od siebie usta, ona ujęła jego twarz w dłonie i dotykała go wargami.

- Historia się powtarza - szepnęła.

- Nie - odsunął się odrobinę, żeby jej spojrzeć w oczy. - To zupełnie co innego.

Nagle usłyszeli jakieś radosne śmiechy, burzące intymność ich małego światka. Odsunęli się od siebie. Kątem oka Tara zobaczyła rodziców z dwójką dzieci, szalejących w świeżym śniegu.

- Może byśmy się przeszli wokół stawu? - zaproponowała.

- Poszukuje pani eskorty?

Uśmiechnęła się.

- Coś w tym rodzaju.

- Cóż, mężczyzna musi zrobić, co do niego należy.

- Clint wstał.

Westchnęła, przewracając oczami.

- Jaki dżentelmen.

- Nigdy tak nie twierdziłem, łaskawa pani.

Wziął jej dłoń w swoją dużą rękę i wyprowadził Tarę z altany.

- Myślę, że to było sprawiedliwie.

Clint przełknął ostatni kęs zapiekanki z makaronu i karczochów i sięgnął po swój kieliszek z winem.

Sponad małego stołu jadalnego w swoim ciepłym i miłym saloniku Tara uśmiechnęła się do niego.

- Ty zrobiłeś śniadanie, a ja kolację.

- No, chyba sprawiedliwie. Zresztą pyszną kolację uśmiechnął się.

- Dziękuję. - Tara wzięła swój kieliszek.

Było późno, w każdym razie jak na kolację, prawie dziewięta, ale nie zauważali tego. Dla Clinta domowy posiłek i to w towarzystwie kobiety, której trudno się będzie oprzeć, to była rzadkość.

- Bardzo jesteście zamyśloni.

- Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłem domowy posiłek.

- I przypomniałeś sobie?

Pokręcił głową.

- Musiało to być dosyć dawno.

- Jesteś tu zawsze mile widziany.

Spojrzał z ukosa.

- Na pewno?

- Oczywiście - odparła pospiesznie, po czym odchrząknęła. - Po prostu bardzo lubię gotować, a posiłek trzeba spożywać w towarzystwie.

- Zgadzam się w stu procentach.

Przechyliła głowę na bok i przypatrywała mu się przez chwilę.

- Czy ty się ze mnie nie nabijasz, Andover? Bo zostało mi jeszcze trochę sosu marinara. - Przysunęła kieliszek z winem do jego koszuli. - Zresztą czerwone z białym też świetnie pasuje.

Zachichotał.

- Nie nabijam się. Przysięgam. - Popatrzył na jej twarz, oczy, usta. Najchętniej odsunąłby ten stolik i posadził ją sobie na kolanach. - A jakie jest twoje najlepsze danie?

- Hm - zaczęła i przygryzła wargi. - Chyba faszerowana kapusta. Przepis mojej babci.

- Pewnie dobre.

- Dobre.

- Ale... Dla ilu facetów robiłaś tę faszerowaną kapustę?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Zaczął to przesłuchanie dla żartu. Co się, do diabła, dzieje? Czy to naprawdę ma znaczenie, że gotowała jakąś potrawę dla innego faceta? Ma. Wściekły sam na siebie, powiedział głośno:

- Po prostu się zastanawiałem. No, to ilu?

Była wciąż rozbawiona. Zmarszczyła brwi i zaczęła liczyć na palcach. Im więcej, tym Clint był bardziej zły. Co za idiota, pomyślał.

Gdy w końcu spojrzała na niego, była uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Zero - oznajmiła.

Przez chwilę nie chwycił dowcipu, a kiedy zrozumiał, wyprostował się w krześle i łyknął wina.

- Takie żarty do ciebie nie pasują, Roberts.

Tara zaśmiała się i pokręciła głową.

- A do ciebie nie pasuje zazdrość, Andover.

- To nie ma nic wspólnego z zazdrością.

- Nie? Więc co to jest?

- Na pewno nie zazdrość. Przecież my się tylko tak zabawiamy.

Nagle twarz jej spoważniała, a oczy straciły blask.

- Tak. - Zebrała ze stołu talerze i ruszyła do kuchni. - Zapomniałam.

Chciał się puknąć w głupi łeb.

- Tara.

- Posprzątam to. Chyba masz coś do roboty.

- Wiesz, że nigdzie się nie wybieram.

Spojrzała na niego, zaciekawiona.

- A to dlaczego? Przecież twój człowiek pilnuje mojego domu, prawda?

- Prawda.

- Więc nie ma żadnego powodu, żebyś tu był.

- Może chcę skończyć to, co rozpoczęliśmy dziś rano. - Stał obok niej, uchwycił w dłonie jej twarz, przesunął palcem po jej ustach. - To, co rozpoczęliśmy w altanie.

Oczy jej znów rozbłysły.

- Może chcesz, ale wątpię, czy ci się uda.

- Co to ma znaczyć?

- Dobrze wiesz.

- Co mam powiedzieć, Taro? - Jęknął i przesunął ręką po włosach. - Mam powiedzieć, że to, co jest między nami, jest prawdziwe? Że mogę dać ci więcej, niż jestem w stanie? Albo że jestem zazdrosny jak diabli, że mogłabyś coś dać innemu mężczyźnie, choćby to było głupie danie z kapusty?

- Tylko jeżeli to prawda.

- To jest prawda. - Nachylił się i złożył na jej ustach długi pocałunek. - I to. - Jego usta znów znalazły się na jej wargach. - I to. - Czuł, jak zadrżała w jego rękach. - I to.

Ogarnął go gniew, na siebie i na nią, że doprowadza go do takiej pasji. Miała taki cudowny smak. A kiedy

przesunęła dłonią po jego ramionach i objęła go za szyję, przyciągnął ją silnie do siebie. Jak można być tak wspaniale dopasowanym, zastanawiał się. Jej piersi do jego, wygięcie jej biodra do jego lędźwi, prawdziwa doskonałość.

Nie tracił więcej czasu na rozmyślenia. Wyczuł ustami przyspieszony puls na jej szyi i wiedział, że jest to ponaglenie, aby wziął to, o czym dotychczas tylko marzył.

Podjął to wezwanie i coraz gorętszymi pocałunkami okrywał szyję Tary. Dziewczyna odchyliła głowę i jęknęła, a on zapragnął mieć ją całą, natychmiast, ale powstrzymał się. Wiedział, że z nią musi być inaczej, że chce robić to powoli.

Ujął jej twarz w dłonie i powiedział:

- Nie wiem, co ty o tym sądzisz, co sobie myślisz o mnie, ale uważam, że to jest prawdziwe.

Otworzyła oczy, oszołomiona.

- Powiedz mi.

- To nie jest zabawa.

Miała rozognione policzki, różowe usta, a zielone oczy wydawały się gorące.

- Wiem.

- Nie wiesz - tłumaczył nie tyle jej, co sobie. - To nie jest niewinny flirt ani zakończenie jakiegoś żartu.

- Nachylił się i dotknął jej ust. - Pragnę cię, Taro, i to tak, że mnie to przeraża. I nie mogę już dłużej nad tym panować.

- Clint...

- Musisz mi powiedzieć natychmiast, żebym się wycofał i poszedł sobie, jeśli tego nie chcesz. Jeśli nie chcesz mnie.

Tara czuła, że serce jej pęknie. Ona miałaby go nie chcieć? Czy on jest poważny? Nie zauważył, że jest w nim beznadziejnie zakochana, jak jej ciało reaguje na każdy jego pocałunek, każdy dotyk, jego bliskość?

Pizez dwadzieścia lat robiła to, co należy, co właściwe, czego od niej oczekiwano. Czas najwyższy zważyć ten mur, choćby go potem musiała odbudować na nowo.

Wzięła jego ręce i położyła na ściągaczu sweterka. Uniosła ręce w górę.

- Spróbujmy to zrobić jeszcze raz.

Ściągnął sweter jednym ruchem i całował ją znowu, rozpinając biustonosz. Stała teraz przed nim, naga od pasa w górę, bezbronna jak mały kotek i czekała, aż on jej dotknie. Bała się, żeby znowu nie odszedł.

Nie odszedł. Zaczął ją głaskać. Dotykał jej piersi, brzucha, jego duże dłonie ścisnęły jej talię. Czuła, że nogi się pod nią uginają.

- Chcę cię - szepnęła.

- Teraz?

- Teraz. Dosyć czekaliśmy.

Jednym szybkim ruchem wziął ją na ręce i zaniósł poprzez hol do jej ciemnej sypialni. Po drodze wpadli raz czy dwa na ścianę, ale nie miało to najmniejszego

znaczenia wobec tego, że nareszcie są razem. Gdy dotarli do łóżka, rzucili się na materac, wciąż się całując.

Za oknami cały czas padał śnieg, potęgując wrażenie spokoju. Tu, w sypialni, panował pośpiech i niepokój. Szybkie ściąganie reszty ubrań, westchnienia.

Całymi latami Tara zastanawiała się, jak by to było, gdyby czuła tego mężczyznę w sobie, jego zapach połączony z jej zapachem... I teraz to się wydarzy, a ona była taka szczęśliwa. Chciała go widzieć w tym momencie, całego, widzieć, jak ciemniej ją oczy.

Sięgnęła do wyłącznika lampy, ale Clint schwycił ją za rękę.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie chcę, żebyś mnie widziała.

- Nie obchodzi mnie twoja blizna, Clint.

- Ale mnie obchodzi.

- Dobrze - zgodziła się, chociaż nie rozumiała, dlaczego wstydził się tej blizny, jakie cierpienie musiało być z tym związane. Nie chciała mu przysparzać następnego.

- Dziękuję.

Puścił jej rękę, a ona objęła go mocno. Nie musi widzieć, będzie go czuła, tę jego zranioną skórę przy swojej skórze. Jego pocałunki stawały się coraz gwałtowniejsze, jego ręce pieściły jej ciało, a usta szeptały erotyczne zaklęcia.

Jej napięcie rosło, aż spotkały się ich spojrzenia,

a ich ciała połączyły się nareszcie, do końca. Tara krzyknęła w odpowiedzi na to elektryzujące uczucie i myślała, że traci oddech.

- To nie zabawa - szepnął Clint.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Okrutny sen się nie pojawił.

Clint przysłonił oczy ręką i spojrział na zegarek przy łóżku. Oświetlony wschodzącym słońcem, wskazywał prawie siódmą rano. Ułożył się z powrotem na poduszce. Po raz pierwszy od trzech lat przespał całą noc bez żadnych kłopotów. Przypomniawszy sobie ostatnią noc i Tarę.

Odetchnął głęboko. Nie chciał zależeć od kogoś, nawet od niej, żeby spokojnie przeżyć noc.

Obrócił głowę w stronę okna. Ziemia pokryta była błyszczącym śniegiem, a niebo - chmurami. Zapowiadał się następny zimny i chłodny dzień.

Wspaniały do spędzenia w łóżku. Nie mógł sobie na to pozwolić, choć brzmiało kusząco. Musiał wstać, pojechać do Sorrensonów sprawdzić, co dzieje się z Janie, a potem do biura. Miał do rozwiązania zagadkę.

Śpiąca obok Tara poruszyła się, dotykając jedwabnym pośladkiem jego uda. Przypomniawszy sobie ostatnią noc, jak cudownie reagowała na każdy jego dotyk. Obrócił się do niej i objął ją w pasie, żeby przytulić

bliżej. Od jej ciepła i tego waniliowego zapachu włosów można się było uzależnić.

Nie dał się zbliżyć kobiecie do siebie już od... od dawna. Wprawdzie nie był mnichem przez te trzy lata, ale były to krótkie przygody bez zobowiązań. Z Tarą wszystko było inaczej. Pragnął czegoś więcej niż czysto fizycznego kontaktu i to pragnienie go zawstydzało.

Jak mógł pozwolić na to, żeby szkolne zauroczenie przeszło w takie pragnienie i potrzebę tej kobiety? Zastanawiał się, przesuwając dłonią po jej brzuchu, czy zapomni o rozsądku i obowiązku i pozwoli, żeby taka noc się powtórzyła?

- Hm, jak dobrze - mruknęła. - Która godzina? - spytała zaspianym głosem.

- Wcześniej. Dochodzi siódma.

- Dlaczego nie śpisz? Żałujesz, Andover?

Było to powiedziane żartem, ale zaczął się zastanawiać, czy może ona żałuje? Nie zapytał jej, nie chce tego wiedzieć.

- Żartujesz? - powiedział, obejmując jej ciepłe i pełne piersi.

- Po prostu chciałam się upewnić, to wszystko.

Z ustami przy jej szyi, wyszeptał jej prawdę.

- Jedyne, czego żałuję, to tego, że muszę wstać, wsiąść do zimnego samochodu i pojechać do zimnego biura.

- Więc zaczekaj, aż się trochę zagrzeje.

- A kiedy to będzie?

Schwyciła jego dłoń i przesunęła w dół swojego brzucha.

- Lada moment.
- Zamknij oczy - powiedział - i trzymaj zamknięte.
- Dlaczego?
- To niespodzianka.
- Miła? - spytała z uśmiechem w głosie.

Natychmiast ułożył ją na plecach.

- Nie będziesz żałować, obiecuję.

Z zamkniętymi oczami i lekko rozchyłonymi wargami wyglądała na chętną i pełną zaufania. Zdjął z niej kołdrę i położył się obok. Przez moment tylko patrzył, wspominając, jak marzył o takiej chwili od czasu, gdy ją rozebrał w łazience, przy blasku świec. A teraz znów ją miał przy sobie.

- O Boże!

Kobięcy głos, dochodzący z saloniku, poderwał Tarę. Rozejrzała się, żeby się zorientować, co się dzieje.

- Co to było? - szepnęła bardziej do siebie niż do śpiącego Clint'a.

- To chyba Jane.

Obróciła się, żeby spojrzeć na leżącego w jej łóżku mężczyznę.

- Jest w domu.

- Na to wygląda.

- Hej, Andover! - Tym razem niski, męski głos rozległ się w całym domu. - Jesteś tu?

Clint obrócił się na bok i oparł na łokciu, ale jego piersi z blizną zakrywała poduszka.

- I wygląda też na to, że przywiózł ją David Sorrenson.

- I jesteś taki spokojny.

- A ty się za bardzo przejmujesz. - Spojrzał uwodzicielsko. - Chodź, połóż się z powrotem.

- I co? Pomyśla, że nas tu nie ma i sobie pójdą?

- Miejmy taką nadzieję.

- Tara! - rozległ się głos zdenerwowanej Jane. - Taro, proszę! Jesteś tu?

- Już idę, Jane. - Tara wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po frotowy szlafrok. Zerknęła na Clintę. - Mówię ci, coś się stało. Idziesz?

Skinął głową, teraz już poważny.

- Tak, zaraz.

Tara wybiegła z pokoju, przeszła przez hol i zobaczyła Jane przy jadalnym stole, przy którym poprzedniego wieczoru jedli z Clintem kolację. Jane była przerażona.

Tara podeszła i objęła ją.

- Co się stało? Dobrze się czujesz?

- Nie - zaczęła i pokręciła głową. - To znaczy... chodzi o to. - Uniosła kartkę papieru. - Ten Ust...

Tarę przeszył strach, gdy w drżącej ręce przyjaciółki zobaczyła kremową kartkę. Kolejny list i tym razem to Jane go znalazła.

- Był wetknięty w drzwi, kiedy tu przyjechaliśmy

- poinformował David ze swego miejsca przy drzwiach. - Był zaadresowany do Jane, więc...

- Myślałam, że to informacja od was. - Jane spojrzała na Tarę, później gdzieś poza nią.

Tara obejrzała się za siebie. Niedaleko stał Clint, kompletnie ubrany, jak gotów do skoku.

David oparł się o drzwi i skrzyżował ręce na pierśsiach.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłem, stary, ale...

Clint machnął ręką.

- Nie szkodzi. Czy chcecie powiedzieć, że ten list był wsunięty w drzwi, a nie wrzucony do skrzynki?

David skinął głową.

- Żadnego znaczka, żadnego adresu zwrotnego, nic.

- Tylko moje nazwisko na kopercie - dodała Jane.

- Jak, do diabła, ten drań przeszedł obok mojego człowieka?

- W tym liście jest napisane, że Autumn nie jest moja - powiedziała Jane, kręcąc głową. - Nie rozumiem tego zupełnie. Czuję, że powinnam, ale nie rozumiem.

Tara dotknęła jej ręki, żeby pocieszyć przyjaciółkę.

- Wszystko w porządku. Nie rób sobie wyrzutów z powodu czegoś, co nie jest twoją winą.

Clint podszedł do Jane, wyciągając rękę.

- Mogę zobaczyć?

Podała mu list. Tara spojrzała mu przez ramię.

ZABRAŁAŚ DZIECKO.
JESTEŚ ZŁODZIEJKĄ I OSZUSTKĄ.
DOSTANIESZ, NA CO ZASŁUŻYŁAŚ.
NIKT CIĘ TERAZ NIE OCHRONI.

Clint, unosząc brew, spojrzał na Davida.

- To jest bezczelne, nie uważasz?
- Niczego się nie boi - potwierdził David.

Tara westchnęła.

- Ktokolwiek to jest, już nie uważa, że musi się posługiwać pocztą ani przejmować się twoimi ochroniarzami.

- Klasyczne zachowanie psychopaty - stwierdził Clint, oglądając kartkę pod światło. - Wzrost częstotliwości i typowe naruszanie prywatności ofiary.

David odchrząknął.

- Myślę, że powinniśmy rozważyć przeniesienie Jane.

Tara przysunęła się do niej.

- Czy ta osoba nie będzie obserwować? Czy powinniśmy okazywać, że się boimy? Zachowywać się, jakbyśmy uciekali ze strachu?

- Powinniśmy zachowywać się rozsądnie, Taro.
- Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - Nie mówię...

- Przestań być taka uparta i pomyśl, co jest dobre dla Jane.

- Znowu te same argumenty? - Tara wzięła się pod

boki, zmrużyła oczy. - Mów sobie co chcesz, Andover, ale jej dobro jest dla mnie najważniejsze, a przeniesienie jej teraz jest błędem.

Uniósł brew.

- Czy chodzi o to, że ona będzie w moim domu, czy o to, że mnie nie będzie tutaj?

Tara poczuła się, jakby ją ktoś uderzył w żołądek.

- Kazałabym ci stąd wyjść, ale nie wiem, czy twoja głowa zmieściłaby się w drzwiach.

- Przestańcie!

Tara i Clint spojrzeli na Jane.

- Zastanowimy się za chwilę, gdzie mam być, a teraz mam pytanie. Czy były już jakieś inne listy?

Tara spojrzała na Clinta. W skupieniu skinął głową.

- Ile? - spytała Jane.

- Dwa.

- I nic mi nie powiedzieliście? Żadne z was nie uznało, że to moja sprawa?

- Uważaliśmy, że tak będzie najlepiej, Jane - wyjaśniała Tara z poczuciem winy. - Nie chcieliśmy cię martwić, ale to był błąd. Miałaś prawo wiedzieć, co się dzieje. Bardzo przepraszamy.

Przyjaciółka skinęła głową.

- Dziękuję ci za to. - Odetchnęła głęboko i spytała. - Więc co teraz zrobimy?

Tym razem, gdy Clint się odezwał, mówił spokojnie i rzeczowo.

- David, zabierzesz panie do siebie...

Tara pokręciła głową.

- Clint, nie dam się wyrzucić z własnego domu przez jakiegoś świra...

- Taro - spojrzał na nią i jego głębokie, błękitne oczy przypomniały jej, że przecież to jest mężczyzna, z którym się dopiero co kochała i który prosi, żeby zaprzestała głupich kłótni i chociaż raz mu zaufała. - Ten jeden raz nie walcz ze mną, dobrze?

- Dobrze, ale sama pojedę. Dziś wieczorem pracuję.

- Nie mógłby ktoś cię zastąpić?

- Clint!

Skinął głową, po czym zwrócił się do Davida.

- Musimy się do tego zabrać.

- Zajmę się wszystkim - odpowiedział David. -

Nie ma problemu.

Clint wziął kurtkę i kluczyki i ruszył do drzwi.

- Do zobaczenia.

Tara nie mogła się powstrzymać.

- Dokąd jedziesz?! - zawołała.

- Gdy David będzie was wiozł na ranczo, zajmę się sam tym listem, a potem załatwię kilka telefonów.

- Spotykamy się za dwie godziny? - spytał David.

Clint skinął głową i zwrócił się do Tary.

- Powiedziałem, że się tym zajmę i tak będzie.

- Wiem - uśmiechnęła się nieśmiało. - Bądź ostrożny!

- Ty też! - odwzajemnił uśmiech.

Panowie z Teksasńskiego Klubu Ranczerów siedzieli w skórzanych klubowych fotelach, popijając oryginalną szkocką whisky i rozmawiając cicho, podczas gdy reszta członków i obsługi zebrała się w pobliżu baru.

- Wyraźnie ktoś nas podpuszcza - stwierdził zdecydowanie Alex.

- A my łapiemy przynętę - dodał rozgoryczony David.

Ryan spojrział na Clintę.

- Co twój człowiek miał do powiedzenia?

Clint westchnął ciężko.

- Zapewniał mnie, że dom był cały czas pod obserwacją.

- Więc skąd się wziął ten list w drzwiach?

- Tego nie potrafi wyjaśnić.

Alex spojrział ponuro.

- To na czym stoimy?

Clint był wyraźnie sfrustrowany.

- Możemy tylko jeszcze dokładniej zbadać ten ostatni list.

- Ale nie przypuszczasz, żeby coś znaleźli, prawda?

- spytał Ryan, nim upił spory łyk.

Clint pokręcił głową.

- Ktokolwiek to jest, jest sprytny, szybki i trudny do złapania.

Wcześniej, w laboratorium, osobiście sprawdzał w liście wszystko, szukając śladów jakichś włókienek, płynów organicznych, próbował DNA, wszystko na

nic. Z trudem ukrywał swoją złość z powodu bezsilności, z braku najmniejszego punktu zahaczenia.

- No cóż - David skończył drinka i oparł się wygodniej w fotelu - wygląda na to, że będziemy musieli walczyć.

- Trzeba się zastanowić, jaki będzie następny krok - powiedział Clint, spoglądając na kolegów w skąpym świetle klubowego salonu, czekając na sugestie.

Pierwszy odezwał się David.

- Przede wszystkim musimy zabrać obie kobiety z tego domu.

- Zgadzam się - potwierdził Clint.

W czasie porannej kłótni z Tarą powiedział kilka nieprzyjemnych rzeczy, głupich, dziecinnych. Dziś wieczorem musi ją przeprosić, przyznać, że bardzo chciałby, żeby była przy nim.

- A kto ich teraz pilnuje? - spytał Ryan.

- Jest z nimi mój kumpel z policji - odpowiedział Clint.

- Ale dokąd powinny pojechać? - zastanawiał się Alex. - Może powinny zostać u Sorrensonów?

David postawił szklanekę na stole i skinął głową.

- Mamy mnóstwo miejsca.

Nie był to zły pomysł, prawdę mówiąc, najrozsądniejszy. Clint jednak nie mógł się na niego zgodzić. Obiecał chronić Jane i Tarę za każdą cenę i zamierzał tego dotrzymać.

- Zabieram je do siebie - poinformował kolegów.

- Jeśli zajdzie potrzeba, mogę je zamknąć, jak w forcie.

- Mogą być kłopoty z Tarą - przypomniał David.

Już mu sprawiała kłopot i to takiego rodzaju, że nie chciał się przyznać sam przed sobą, a co dopiero przed kolegami.

- Pójdzie - obiecał z pewnością, której wcale nie miał - choćbym ją miał zanieść, gdyby kopała i wyrywała się.

David zachichotał.

- Może być ciekawie.

- Raczej niebezpiecznie - sprostował Ryan.

Alex klepnął przyjaciela w plecy.

- Kłopotliwie.

- Nie macie pojęcia, jak kłopotliwie - Clint rzucił wszystkim ponury uśmiech. - Pewnie teraz jest sfrustrowana i znudzona, więc kombinuje z dziewczynami, jak by tu wykołowac mojego kumpla z policji i gdzie się wybrać.

- Nie zrobiłaby tego - zdumiał się Alex.

- Oczywiście, że zrobiłaby. - Clint nie miał wątpliwości. - I chyba przez tę jej nieokiełznaną naturę szaleję za nią.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Będzie miał tę sukę.

Nachylił się w fotelu biurowym i sięgnął po szklankę z whisky. Zżerała go niecierpliwość. To, czego chciał i po co tutaj przyjechał, potrwa znacznie dłużej, niż myślał.

Nie był entuzjastą czekania, ale nie miał wyboru. Nie spodziewał się, że ta banda lokalnych kowbojów tak będzie strzegła jego nagrody. Z drugiej strony, oni nie spodziewali się, że to on.

Pielęgniarka stawiała się niecierpliwa i przestraszona. Andover niczego nie odkrył, tego był pewien. Ten kowboj tak był zajęty sypianiem z blond pielęgniarką, że zostawiał swojego strażnika na zbyt długo. Biedny facet przysnął na minutę czy dwie.

Czy Andover nie wie, że minuta wystarczy diabłu, żeby wykonać swoją robotę? Albo żeby zesłać jednego ze swych upadłych aniołów, by ją za niego wykonał? Wysączył napój do końca, podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. Miał jeszcze jednego pomocnika w zapasie, żeby załatwić pielęgniarkę i jej kochasia, i postanowił teraz go wykorzystać.

- Jesteśmy gotowi? - warknął do słuchawki.

Po drugiej stronie usłyszał drżący nerwowo głos Jasona Stoke'a:

- Wszystko gotowe, szefie.

- Mam nadzieję, dla twojego własnego dobra.

- Tylko, jak powiedziałem, szefie, jeśli ktoś przypadkiem będzie w domu, może się to skończyć śmiercią.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął mężczyzna, znudzony tematem. - Jedyne, co mnie obchodzi, to moje pieniądze, a jak to będzie załatwione, to mnie nie interesuje. Zrozumiano?

- Tak jest - odpowiedział słabo Jason.

- Dobrze. Więc dopilnuj tego.

Nie potrzebował czekać na odpowiedź. Wiedział, że Stokes rozumie, co się stanie, jeżeli nie wykona zadania. Jeszcze dobrze nie zagoiły się jego siniaki od momentu, gdy był nieposłuszny.

Wstał i podszedł do okna swego gabinetu w Royal w Teksasie. Boże, musi się wydostać z tego głupiego miasteczka. A kiedy to zrobi, wyjedzie z przywróconym poczuciem godności po zemście na kobiecie, która go okradła, i z dwoma pakunkami, po które przyjechał...

Z dzieckiem i pół milionem dolarów.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Miałam rację - spytała wyczekująco Tara, wskazując na wyjątkowo piękną choinkę, stojącą wśród innych na dużym placu - czy nie miałam?

Marissa uśmiechnęła się, ukazując dołeczek w prawym policzku.

- Muszę przyznać, że miałaś.

- Już od samego zapachu robi się człowiekowi weselaj - ciągnęła Tara.

Jane, tuląc do siebie opatuloną Autumn, skinęła potakująco.

- Jest piękna.

- A nie uważacie, że trochę za wysoka do mojego salonu?

- Wcale nie.

Marissa pociągnęła nosem na zimnym, popołudniowym powietrzu.

- Żebyście widziały, jaką wielką przywiózł wczoraj David. Powiedział, że to pierwszy z moich licznych prezentów. Wygląda, jakby rosła w jakimś lesie w Oregonie co najmniej przez trzydzieści lat.

- Och, to rozpieszczanie w świeżo upieczonych małżeństwach!

- Też mogłabyś je mieć - powiedziała w zamyśleniu Marissa.

Jane roześmiała się.

- Musiałyby najpierw przyznać, że jest zakochana.

Tara zdumiała się, że inni tak wyraźnie widzieli, co dzieje się w jej sercu. Jak to możliwe, że taka rozsądna i nie ujawniająca się z życiem prywatnym siostra Roberts pozwoliła sobie na taką otwartość.

Dotknęła swojej twarzy, podejrzewając, że może ma wypisane na niej czerwonymi literami „Kocham Clinta Andovera”.

Marissa nachyliła się i szepnęła, gdyż przechodził obok nich pracownik sprzedający choinki.

- David mówił mi o gościu, który u ciebie nocował.

Tara poczuła, że się czerwieni.

- David ma za długi język.

Marissa zamrugała rzęsami.

- Żeby mnie lepiej pocałować, moja droga.

Jane wybuchła śmiechem, po niej Marissa i za nimi Tara. Tak dawno nie doświadczała takiej dziewczynskiej przyjaźni i ploteczek. Bardzo jej tego brakowało.

- Hej, zobaczcie - krzyknęła Marissa - tam jest Mikołaj! - Dotknęła ręki Jane. - Mogę wziąć Autumn i jej pokazać?

- Oczywiście - odparła Jane i przekazała zaciekawioną dziewczynkę w ramiona ciotki Marissy.

Tara usiadła z Jane na najbliższej ławeczce i spytała ją:

- Nie możesz przestać myśleć o tym liście, co?

Jane pokręciła głową.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi o tych poprzednich.

- Wiem i przepraszam. Myśleliśmy, że lepiej będzie nie martwić cię jeszcze dodatkowo.

- Rozumiem - odpowiedziała Jane ze spojrzeniem pełnym cierpienia.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Tara, choć sama nie bardzo w to wierzyła.

- Myślisz, że Autumn jest bezpieczna?

- U Davida i Marissy?

- Tak w ogóle? Nie uważasz, że ten maniak nie przestanie, póki nie zdobędzie tego, czego chce?

- Nie wiem. - Była to szczerą odpowiedź. - Ale wiem, że Clint i David i reszta panów z Teksasńskiego Klubu Ranczerów nie spoczną, dopóki nie złapią tego faceta. - Jane skinęła głową, ale widać było, że nie powstrzymało to jej obaw. - Dojdą do tego, na pewno.

- Żebym tylko coś sobie przypomniła - pokręciła głową. - To mogłoby pomóc.

Tara założyła kosmyk ciemnych włosów za ucho przyjaciółki.

- Wróci ci pamięć. Trzeba tylko trochę czasu.

- Ale może mi nie starczy czasu, Taro?

Popatrzyły na siebie, ale żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć.

Kilka metrów od nich Marissa stała w kolejce do Świętego Mikołaja i teraz wołała i machała ręką.

- Zaraz jej kolej i będzie siedziała na kolanach u Mikołaja! Chodźcie.

Oczy Jane rozbłysły uśmiechem.

- Muszę to zobaczyć.

- Ja też - zgodziła się Tara.

Kiedy podchodziły do grupy roześmianych dzieci z rodzicami, Jane powiedziała:

- Chcę dzisiaj znowu zostać z Autumn na noc, jeśli się nie pogniewasz.

- Och, Jane, oczywiście, że się nie pogniewam. Doskonale rozumiem.

- Żałuję tylko, że ty nie dałaś się namówić i wracasz do domu po swojej zmianie.

- Muszę gdzieś odwieźć tę choinkę - zrobiła śmieszoną minę.

Całe popołudnie myślała o tych listach, swoim domu i bezpieczeństwie ich wszystkich. Co było słuszne? Co należało zrobić?

- Taro...

- Stałam na głowie, żeby zachować ten dom i go odnowić i naprawdę uważam, że powinnam w nim zostać. - Zaśmiała się smutno. - Mama by mnie stłukła na kwaśne jabłko, gdybym uciekła z powodu kilku pogrózków.

Jane westchnęła ciężko.

- Clintowi się to nie spodoba.

- Nie mogę przejmować się tym, co się Clintowi podoba, a co nie. Najważniejsze, że ty i Autumn jesteście bezpieczne.

- Ja jestem bezpieczna, a mojemu dziecku nic się nie stanie, jeśli tylko będę przy niej.

Tara poczuła ukłucie w sercu.

- Nie wyobrażałam sobie, że związek matki z dzieckiem jest aż tak silny.

Stały przed Mikołajem. Mała śmiała się i gawrzyła w jego objęciach.

- Tak jak powiedziała Marissa, może kiedyś sama się przekonasz.

- Może.

Po raz pierwszy w życiu Tara zaczęła się zastanawiać, czy coś tak cudownego jest możliwe.

Było prawie wpół do trzeciej rano, gdy reflektory samochodowe oświetliły okna.

Clint siedział w pachnącym sosną salonie Tary, spięty, w kompletnej ciemności. Wpatrzony w drzwi czekał, aż reflektory zgasną, usłyszy kobiece kroki na ścieżce, aż obróci się klucz w zamku.

Usłyszał kliknięcie wyłącznika i w holu rozbłysło światło, ukazując Tarę w pielęgniarskim mundurku i z blond loczkami wokół zdenerwowanej twarzy.

Poznała go i z trudem wyjąkała.

- Jezu, Andover, ale mnie przeraziłeś...

- Naprawdę?

- Siedzisz tutaj w ciemnościach, jak jakiś... - przerwała, żeby odetchnąć.

- Jak kto?

Zignorowała jego pytanie, zatrzasnęła drzwi wejściowe i przeszła do salonu.

- Więc co tutaj robisz? Pilnujesz mojej choinki? Był to słaby żart i Clint się nie roześmiał.

- Nie masz żadnego szacunku dla autorytetu.

Rzuciła torbę na stół.

- Mam, jeżeli prośba jest rozsądna.

- Czy moje prośby są nierozsądne?

Siadła na kanapie naprzeciw niego i wzniosła rękę, wołając o pomstę do nieba.

- Poszliśmy kupić choinkę, w publicznym miejscu. Wielka sprawa!

Doprowadzała go do szaleństwa. Nie tylko ciało, ale i rozum.

- Nie chodzi o choinkę, Taro, tylko o ciebie tutaj, samą. Przecież weszłaś do pustego domu. Ktokolwiek mógł tu na ciebie czekać...

- Ale ty czekasz.

- Poddaję się. Jesteś niemożliwa - mruknął przez zaciśnięte zęby.

- Clint, ten facet od listów nie poluje na mnie.

- Takie świry, jak on, nie zwracają uwagi na szczegóły. Po prostu działają, przeważnie głupio.

- Te wszystkie listy były na temat Jane...

Zerwał się na równe nogi.

- Czy nie możesz chociaż raz mi zaufać? Czy to jest takie trudne?

- Tak - odpowiedziała spokojnym tonem, chociaż w oczach widać było furię.

- Dlaczego?

Nic nie odrzekła, a on chciał ją złapać i potrząsnąć. Brakowało mu już cierpliwości. Staje na głowie, żeby dowiedzieć się czegoś na temat drania, który grozi Jane i Autumn, a tu jeszcze Tara odmawia współpracy.

Schwycił ją za rękę i ściągnął z kanapy.

- Dlaczego, Taro? Bo polegać na kimś, ufać mu, to niebezpieczne? Bo oznacza to brak kontroli?

Uniosła brodę odrobinę.

- Mówisz to z własnego doświadczenia, Andover?

- Może. Może właśnie dlatego łatwiej mi zauważyć to u ciebie? - odpowiedział odważnie.

- Podobnie, jak ty, kontrola to wszystko, co mam.

- To jest szaleństwo.

- Nie, przetrwanie. Zawsze tak było.

Rozumiał wszystko, co mówiła, bo były to jego własne słowa. Dlaczego więc zmuszał ją, żeby z tego wszystkiego zrezygnowała? Jeśli sam przyjął taką postawę, dlaczego nie mógł jej zaakceptować u niej?

- Nie sądzę, żebyś kontrolowała wszystko tak, jak sobie wyobrażasz - powiedział, dotykając ręką jej jedwabistej szyi.

- O co ci chodzi?

- Znów nie masz przyzwyczajki na noc. Pozwoliłaś Jane zostać u Sorrensonów.

- Jest tam bezpieczna, prawda?

- Tak, jest bezpieczna.

- Więc?

- Może ty nie jesteś.

- Mam ciebie do ochrony...

- To nie jedyny powód, dla którego tu jestem.

Wsunął kolano między jej uda.

- Czy jesteś tu dlatego, że chcesz być ze mną?

- Chcę być z tobą przez cały czas - jęknął, opierając się czołem o jej czoło. - Wariuję bez ciebie.

Mimo zmęczenia po całej zmianie w szpitalu Tara poczuła gorąco w podbrzuszu. W dodatku wyglądał tak przystojnie, ubrany na czarno, z rozpiętym kołnierzykiem. I ta jego bliskość, zapach, dotyk.

- Gdyby coś ci się stało, to nie wiem...

- Nic mi się nie stanie - uspokajała Tara. - Ty jesteś tutaj.

Uniosła głowę i pocałowała go w usta. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Wydawało się, że ją rozgniecie, przyciskając tak mocno, gdy okrywał ją pocałunkami.

Bawił się jej wargami, językiem, a ona wyobrażała sobie, jak byłoby cudownie, gdyby każdego wieczoru po powrocie do domu znajdowała go tutaj, a on całowałby ją na powitanie i zanosił do łóżka. Ich łóżka. Chyba zwariowała. Ich łóżka.

Nie powinna w ogóle o czymś takim myśleć i robić sobie nadziei, bo w najlepszym przypadku ta historia może się zakończyć kilkoma wspólnymi nocami.

Odsunęła się od niego odrobinę, nie tak zupełnie, ale tyle, żeby ostudzić głowę i wszystkie inne gorące miejsca na swoim ciele.

- Co myślisz o tej choince? - spytała.

- Ładna.

- Nic cię to nie obchodzi - podniosła głowę.

- Nie za bardzo.

Zaśmiała się.

- Andover, ten dom i ty potrzebujecie trochę świątecznego nastroju.

- A co masz na myśli? - spytał, wsuwając nogę głębiej między jej uda.

Czuła w uszach swoje tętno i opowiadała spokojnie:

- Świąteczka, ozdoby, może jakieś kolędy.

- Nie śpiewam. - Jego ręce zsuwały się po jej ciele.

- Nie? -

- Nie. - Zatrzymał się przy troczkach od spodni.

- A może w jakiś inny sposób uprawiasz muzykę?

Uśmiechnął się szeroko, rozwiązał jej spodnie i zsunął na podłogę.

- Sostro Roberts, podejdzie siostra do mnie?

- Chyba tak.

Objęła go mocno za szyję i pocałowała. Czuła, że zdobywa jego serce tak, jak on zdobył jej kiedyś, dawno temu.

Oparła brodę na ręce i z nogą przełożoną przez jego udo uśmiechnęła się, patrząc na rumowisko wokół siebie. Kanapy już dawno nie zdobiły poduszki, stół do kawy leżał przewrócony i wszystko, co na nim stało, znajdowało się na podłodze, a ona i Clint byli dopiero rozebrani od pasa w dół.

Byli tak spragnieni siebie, że nie przejmowali się takimi głupstwami, jak pójście do sypialni czy całkowite rozbieranie. To zostawili na później.

Tara pocałowała Clinta pod uchem, po czym szepnęła:

- Powiedz mi coś, o czym nikt nie wie.

- Hm, czego nikt nie wie. - Przeciągnął się i pogłaskał jej plecy. - Masz maleńkie różowe znamię za prawym uchem.

- Nie takie coś. Coś o tobie, czego nikt nie wie. A moje znamię to nie taki znów sekret. Widziały je też inne osoby.

- A kto taki?

Zaśmiała się, widząc jego zazdrość.

- Powiem ci, ale musisz obiecać, że nie będziesz taki nieszczęśliwy.

- Wcale nie jestem nieszczęśliwy. Więc kto je widział?

Westchnęła i wyznała swój sekret.

- Moja mama i mój lekarz.

Klepnął ją pieszczotliwie po pośladku.

- No, to chyba jeszcze nie tak źle.

- To brzmi jak tekst bardzo zaborczego kochanka, wiesz o tym?

- Chętnie byłbym znów zaborczy - szepnął.

- Na dzisiejszą noc?

Słowa te wymknęły jej się nieumyślnie, ale może tak miało być, może oboje zadawali sobie to pytanie.

- Taro - przyciągnął ją i pocałował. - Chciałbym dać ci więcej...

- Wiem.

- Chcę dać ci więcej - wyjaśnił - ale nie mogę.

- Z powodu przeszłości? - spytała. Dlaczego koniecznie musiała wiedzieć? Dlaczego nie mogła po prostu cieszyć się czasem, który spędzają razem, nie stawiając pytań, nie robiąc sobie nadziei?

- Problem w tym, że nie mam już nic więcej do ofiarowania. Czy to z powodu tego, co się wydarzyło, czy też... W każdym razie zasługujesz na więcej.

Poczuła, jakby niewidzialna opaska ścisnęła jej serce. Nie zgadzała się z tym, co powiedział. Ona zasługiwała na niego, a on na nią. On tego oczywiście nie dostrzegał.

Objął ją mocniej.

- Powiedz mi coś, czego nikt nie wie, Taro.

- Tak naprawdę jesteś wielkim misiem.

- Nie, coś o tobie. Coś prawdziwego.

Spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich tyle cierpienia, którego nie była w stanie sobie wyobrazić. Czy

mogłaby sprawić, że ono zniknie, gdyby dał jej, dał im, więcej czasu?

- Jest coś, czego nie wiedziałam aż do teraz.
- Co takiego?
- Chcę kochać i być kochana.

Nie wyglądał na zdziwionego. Posadził ją sobie na kolanach i powiedział:

- A ja chcę ciebie.

Zaczął ściągać jej bluzę, ale go powstrzymała.

- Czy mogę zobaczyć ciebie? Całego?

Oczy mu pociemniały.

- Taro...

- Proszę cię, Clint, ja stałam przed tobą zupełnie naga już tyle razy, proszę.

Patrzyła, jak walczył z sobą, ale wiedziała, że tym razem musi ustąpić. Kiedy nareszcie westchnął i skinął głową, uśmiechnęła się.

Rozpinała jego koszulę powoli, guzik po guziku, nastawiając się na to, co zobaczy, czego on się tak obawiał.

Kiedy już całkiem rozpięła jego koszulę i spojrzała na to, co przez trzy lata przypominało mu o jego bólu, zauważyła tylko, jaki jest piękny. Wpatrywał się w nią przekonany, że jęknie albo zadrży na widok nierównej, czerwonej skóry pokrywającej prawie całą lewą część klatki piersiowej.

Nie zrobiła tego. Dotknęła blizny i pogłaskała.

- I jeszcze jedno - powiedziała, ściągając bluzę

i rozpinając biustonosz. - Muszę poczuć jej dotyk swoim ciałem.

Od kiedy jestem taka odważna, pomyślała, dotykając blizny piersiami. A potem przywarli do siebie, wygłodniali, i znów stracili wszelką kontrolę. Chciała mu potem powiedzieć, że go kocha, ale rozmyśliła się. Działyłaby pod wpływem emocji, a nie rozwagi. Poza tym, nie zniosłaby tego, gdyby on nie okazał wzajemności. A przecież było to możliwe.

Clint rozmasował jej plecy i szepnął do ucha.

- Chyba cię wezmę do łóżka.

- A co robiłeś przez ostatnie godziny? - uśmiechnęła się.

- Myślałem o tym, żeby naprawdę pospać. Musisz być wykończona.

- Jestem zdumiewająco rześka.

- No i co z tym zrobimy? - Nie zdołała się dowiedzieć, bo z marynarki Clinta dobiegł dźwięk telefonu. - Mój asystent pracuje nad tym listem, rodzajem papieru. Prosiłem, żeby zadzwonił, jeśli coś znajdzie.

- Przyda nam się przerwa. Idę po sok. Przynieść ci?

- Proszę. - Odwzajemnił jej uśmiech i sięgnął po telefon. - Halo!

Owinęła się w koc i podreptała do kuchni. Słyszała tylko jedną część rozmowy, ale mogła się zorientować, o co chodzi.

- Cześć, Ted.

- To nie jest dobra pora.

- Mówił o listach?

Tara czuła szum w uszach, nalewając sok. To nie był jego asystent. Kim był Ted?

- Gdzie on teraz jest? - spytał Clint przygaszonym głosem.

- Będę za dziesięć minut.

Tara zostawiła sok na blacie kuchennym i wróciła do pokoju.

- Co się stało? - spytała.

- To mój kumpel z posterunku policji. Zatrzymali jakiegoś mężczyznę. - Ubierał się w pośpiechu. - Może to być ten, który wysyłał listy. Muszę go przesłuchać.

- Jadę z tobą.

- Nie.

- Clint...

- Chcę, żebyś tu została. Jeżeli to ten facet, nie chcę, żebyś się znalazła w jego pobliżu. - Wciągał buty. - Posłuchaj, Ted przysyła radiowóz, żeby pilnować twojego domu, a ja wrócę przed świtem.

Patrzyła, jak wkłada kurtkę, i marzyła, żeby został, ale wiedziała, że nie ma prawa. On jej zaufał dzisiejszej nocy, teraz ona musi zaufać jemu.

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Dobra.

- Tylko tyle? Bez kłótni?

- Ufam ci.

- Wrócę za kilka godzin - szepnął i podszedł do drzwi. - Jak tylko wyjdę, dobrze się zamknij.

Skinęła głową, a kiedy wyszedł, zrobiła, jak prosił.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dziecko pocałowało Tarę w policzek, a potem pobiegło, przez pachnącą trawę, na huśtawkę. Mała dziewczynka o dużych, niebieskich oczach zawołała do kogoś.

Chodziło o mężczyznę, siedzącego obok Tary. Wysoki, ciemnowłosy, o stalowych oczach, wyglądał jak jakiś bóg, który przyprawiał matkę dziewczynki o bicie serca i miękkie nogi z pożądania.

- Tatusiu, pohuśtaj mnie - poprosiła wdzięcznie dziewczynka z pięknymi blond loczkami, opadającymi na ramiona.

Mężczyzna siedzący obok Tary roześmiał się szeroko, wstał i podszedł do córeczki.

- Czego sobie życzysz, kotku.

Mężczyzna popychał dziewczynkę na huśtawce wysoko, aż do nieba, po którym przepływały białe chmurki.

- Czy mamusia chce się pohuścić? - spytała dziewczynka.

- Nie wiem - popatrzył na Tarę spojrzeniem pełnym miłości. - Chce?

Tara uśmiechnęła się. Wiedziała, że to sen, ale chciała, żeby trwał jak najdłużej, żeby wciąż czuć miłość Clinta Andovera.

W tym śnie mieli siebie i mieli dziecko, ale jak wszystkie sny, i ten nie chciał trwać dłużej. Starła się zatrzymać ten obraz, ale obraz zaczął blednąć. Błękitne niebo zrobiło się różowe, potem pomarańczowe, i nagle ognistoczerwone. Rodzina z jej snu zaczęła się oddalać, jakby na elektrycznym chodniku, a ona, wpadając w panikę, starała się obudzić, ale nie miała siły. Próbowwała zawołać męża i dziecko, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Starła się przywołać ich gestem, ale odpływali coraz dalej.

W końcu z krzykiem siadła na łóżku. Krzyk zamarł jej na ustach, kiedy zorientowała się, że otacza ją gęsty, gryzący dym. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, co się dzieje. Jej dom się palił, alarm nie zadziałał, a jeśli nie wydostanie się stąd natychmiast, to jej życie ze snu będzie jedynym, jakie poznała.

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła pełzać po podłodze, żeby doczołgać się przez drzwi od sypialni i dalej, do drzwi wejściowych. Niestety, droga była zablokowana, w holu szalał ogień.

Gdzie jest Clint, zastanawiała się. Która jest godzina? Jak długo go nie ma?

Bolało ją wysuszone gardło, walczyła ze słabością, która pchała ją do tego, żeby położyć się, zamknąć oczy i nie ruszać więcej. Na drżących rękach i ugina-

jących się kolanach przesuwała się w stronę okna. Wiedziała, że okno jest zamknięte i zasłonięte siatką, ale była to jej jedyna szansa. Była taka zmęczona. Taka śpiąca. Jeszcze tylko kilka kroków do okna. Już niedaleko.

Nie widziała prawie nic przez dym, dopadł ją atak kaszlu. W końcu znalazła się przy oknie, jednak gdy próbowała odciągnąć zasuwki, trzymające siatkę, nie mogła. Mięśnie nie chciały pracować, skóra była napięta, gorąca. Rozum też się wyłączał.

- Clint...

Świat wokół zrobił się czarny i zemdlała.

- Zasnął w celi.

Gdy Clint wychodził z posterunku policji, zaczepił policjanta, którego znał od dziecka.

- Skąd wytrzasnąłeś tego dowcipnisia?

Ted Mackay wzruszył ramionami.

- Na przystanku autobusowym przed szpitalem. Wyglądał podejrzanie, mówił podejrzanie.

- Miejsce rzeczywiście odpowiednie.

- Tak właśnie pomyślał mój funkcjonariusz.

Clint dochodził już do swojej furgonetki, lecz nim włożył kluczyk do zamka, spytał:

- Powiedział coś jeszcze?

- Nie. Przepraszam, stary. Gadał coś o pisaniu listów do pielęgniarek.

- A funkcjonariusz o nic innego go nie zapytał?

- No wiesz, to nowicjusz...

- Rozumiem. - Clint wyciągnął rękę. - Dzięki, że do mnie zadzwoniłeś.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym innym, tylko spaniu - uśmiechnął się Ted.

Clintowi przeszedł przez głowę obraz nagiej Tary, owiniętej tylko cienkim prześcieradłem. Męczarnia. Przyjaciół przerwał znacznie więcej niż spanie. Wyrwał go z baśniowej krainy. Clint wciągnął głęboko powietrze. Tara, cieplutka i mięciutka, śpi sobie teraz, tuląc poduszkę. A on tu na zimnie, z powodu takiego głupstwa. Pora wracać. Uśmiechnął się do Teda.

- Dobranoc, stary.

- Do zobaczenia, Andover.

Wskoczył do furgonetki i zawołał:

- Daj mi znać, jak będzie jakiś ślad!

- Jasne.

Clint uruchomił silnik i ruszył, podenerwowany. Dawno tak się nie czuł, tak bardzo nie pragnął kobiety. Tęsknił za nią tak, że odczuwał fizyczny ból, ale oczywiście nie przyznałby się do tego nikomu.

Drogi były ciemne i puste, jak to o wpół do piątej rano. W panującej wokół ciszy rozmyślał nad przypadkiem, który nie dawał się rozwikłać, do którego wciąż brakowało śladów.

Ten idiota padł dwadzieścia minut po tym, jak go wrzucili do celi. Zostały mu dwa piwa z dwunastu, więc nic dziwnego, że nie mógł się obudzić, nawet

gdy Clint mocno nim potrzasał. Mieli tylko jego zeznanie i jeden z listów, którymi się przechwalał, wyjęty z kieszeni kurtki.

Jedno i drugie okazało się bezużyteczne. List był jednym z wielu listów miłosnych pisanych do pielęgniarek ze szpitala w Royal. Smętne.

Clint był jednak zadowolony, że kolega ma uszy i oczy otwarte, a przecież pomyłki się zdarzają. Wkrótce złapie tego drania, który uwziął się na Jane i Autumn.

Gdy przejeżdżał przez miasto, zauważył światło w piekarni. Wciągnął powietrze. Świeży chleb, słodkie bułeczki z cynamonem. Może kupi kilka na śniadanie, zrobi niespodziankę Tarze.

Chciał już zawrócić, gdy odezwał się jego telefon komórkowy.

- Słucham, Andover.
- Podobno byłeś na posterunku. - Ryan Evans nie bawił się we wstępy.
- Właśnie stamtąd wracam.
- Fałszywy trop, co?
- Niestety.

Clint nie miał nastroju do omawiania kolejnej porażki w znalezieniu poszukiwanego, więc zmienił temat.

- Co robisz tak wcześnie?
- Chciałeś spytać, dlaczego jestem na nogach tak późno? - spytał Ryan z uśmiechem w głosie.

- Cofam pytanie - oschle odparł Clint.
- A ty dokąd się wybierasz? Do biura?
- Właśnie miałem podjechać do piekarni.
- Do piekarni? - powtórzył rozbawiony Ryan. -
Po coś smacznego dla ciebie i pięknej pielęgniarki?

Clint zacisnął ręce na kierownicy.

- Jeszcze coś, Evans?
- Nigdy się nie spodziewałem, że tego doczekam.
- Czego się doczekasz?
- Jak Clint Andover porzuca swój starokawalerski stan.

- Nie wiesz, co mówisz - odparował Clint lodowatym tonem.

- Najpierw Sorrenson, teraz ty. Odpadamy jak liście z drzew. Smutne.

- Chyba wyzwę cię na pojedynek, Evans - zażartował, dojeżdżając w okolice domu Tary.

Ryan zarechotał.

- Podaj czas i miejsce, Andover.

Chciał już odpowiedzieć coś głupiego, ale słowa zamarły mu na ustach. W końcu wykrztusił:

- Co, do diabła?
- Co się stało? - spytał Ryan, który natychmiast spoważniał.

Clint nie mógł wymówić tych słów. Napawały go takim strachem, że prawie zatrzymał samochód.

- W pobliżu jest pożar.
- A gdzie jesteś?

- Blisko Tary. Za blisko.

Przewidywał coś, czego rozum jeszcze nie obejmował. Kiedy dojechał za róg, rozum musiał przyjąć to, cóż było widać.

Przekleństwo odbiło się echem w ciszy.

- Clint?! - Wołał Ryan przez telefon. - Co się dzieje?

Clint rzucił telefonem i nacisnął pedał gazu. Nie, to nie jest dom Tary, nie może być. Bóg nie zrobi mu po raz drugi tego samego.

Zobaczył przed sobą samochód policyjny. Człowiek Teda jej pilnuje, przyczepił się do tej iskierki nadziei. Kiedy zatrzymał się przy nim z piskiem opon, zauważył, że policjant wewnątrz w ogóle się nie rusza. Miał krwawą plamę na skroni.

Clint wyskoczył z samochodu, żeby sprawdzić, czy policjant oddycha, po czym podjechał pod dom Tary. Dom Tary, który płonął.

Zostawił ją. Opuścił. Teraz na pewno ją straci.

Gdy wbiegał do domu, czuł piekący ból na swojej bliźnie i usłyszał sygnał wozu strażackiego.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tara z trudem oddychała. Kiedy przed chwilą odzyskała przytomność, pomyślała, że może już umarła, że Bóg ją zabrał, nim zdążył to zrobić ogień. Poczowała jednak gorąco na skórze, dym, gryzący w oczy i przesłaniający wszystko, i paniczny strach, że wszystko, co najgorsze, jeszcze przed nią. Wiedziała, że żyje.

Leżała skulona pod oknem, słyszała dochodzący jak przez mgłę dźwięk syreny straży pożarnej, ale niewielka to była pociecha. Wiedziała, że musi się ruszyć, podciągnąć do parapetu okiennego i otworzyć siatkę, jeśli chciała ratować życie. Jednak mimo że umysł jej jeszcze jakoś działał i podsuwał rozwiązania, ciało nie było w stanie ich wykonać.

Nie chciała umierać, nie była na to gotowa, ale kiedy słyszała, jak ogień pochłania wewnątrz jej domu, wiedziała, że i jej kolej nadejdzie. Słyszała, że człowiek, umierając, widzi całe swoje życie. Co ona zobaczy? Życie poświęcone służeniu innym, życie niewykorzystanych okazji, żalu? Czy zobaczy Clintę?

Nagle poczuła przypływ siły, uniosła rękę, przytrzymała się ściany, zahaczając paznokciami. Była gorąca,

więc cofnęła rękę. Boże, jeśli wyjdzie stąd żywa, wszystko będzie inaczej. Dotąd żyła dla innych, wciąż czekała, żeby zacząć swoje życie. Dlaczego? Znow przed jej oczami stanął Clint. Jeśli wyjdzie stąd żywa, postara się, żeby oboje byli w stanie przyznać się do miłości.

- Andover, do diabła, dokąd się pchasz?

W pierwszej chwili Tara myślała, że słyszy głos zza okna, ale dochodził z wnętrza domu, z holu.

- Wynoś się stamtąd! - usłyszała ten sam głos.

Byli to strażacy. Znajdowali się gdzieś tutaj, ale starali się dostać do niej tak, żeby dach nie zawalił im się na głowę. Ktoś jednak nie zwracał na to uwagi.

- Zejdźcie mi z drogi - warknął Clint.

- Dochodzimy do niej.

- Ja będę prędezej.

- Konstrukcja może nie wytrzymać.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Jak nie będziesz uważał, Andover, spalisz sobie drugi bok...

Clint zaklął, a ona słyszała jego głos coraz bliżej.

- Clint! - Tara nie wiedziała, czy jej głos było w ogóle słychać, czy dochodził do niego poprzez całe to zamieszanie i szum ognia.

- Tara, kochanie, gdzie jesteś?

- Tutaj - zdołała odpowiedzieć ochrypłym głosem.

- Tutaj.

Usłyszała jego kroki na podłodze.

- O Boże, Tara.

Poczuła, że jest przy niej, obejmuje ją. Próbowwała otworzyć oczy, ale jej powieki były za ciężkie.

- Tara, trzymaj się!

Czuła ból w płucach i była zbyt zmęczona, żeby z nim zostać.

- Taro, nie śpij!

Taka zmęczona.

- Nie zostawiaj mnie, Taro! Słyszysz!

Poczuła, że jest unoszona, chciała otworzyć usta, coś powiedzieć, cokolwiek, żeby już nie był taki przerażony.

Nie zasypiaj! - wołała do siebie w duchu. Zostań z nim. On cię potrzebuje. Musisz się uratować. Nie można pozwolić, żeby znów stracił kogoś, na kim mu bardzo zależy. Była pewna, że mu na niej zależy. Nie mogła jednak podjąć tego wysiłku. Myśli jej uciekały, ciało stało się bezwładne.

Ogarnęła ją ciemność.

Przeszłość zawsze go prześladowała, ale w ostatnich trzech dniach naprawdę pokazała pazury. Clint stał w drzwiach szpitalnego pokoju Tary i patrzył na nią, taką młodą, piękną i bezbronną. I taką nieprzytomną.

Nie odzyskała przytomności od chwili, gdy ją wyniósł z pożaru i ułożył na czekających noszach, a było to trzy dni temu. Nie spodziewał się, że usiadzie i poprosi o szklankę wody, ale jakieś mrugnięcie powieką, jakiś dźwięk, żeby mógł mieć nadzieję, że wyjdzie z tego.

Lekarze niewiele mówili. Niektórzy znali go sprzed trzech lat i nie chcieli niepotrzebnie dawać mu nadziei. Zrobili, co mogli, a teraz trzeba było czasu.

Clint podszedł do łóżka. Delikatny połysk porannego słońca oświetlał twarz Tary, która zdawała się promienieć. Długie blond loki rozrzucone były na poduszce. Dzięki Bogu, że nie ma żadnych oparzeń, pomyślał, za to dym uszkodził jej tchawicę i płuca.

Schwycił się poręczy łóżka, żeby nie stracić równowagi. Gdyby umarła, nigdy by sobie nie wybaczył.

- Panie Andover?

- Słucham - odpowiedział, chociaż nawet się nie odwrócił, gdy do pokoju weszła pielęgniarka.

- Muszę na chwilę zająć się Tarą. Czy zechciałby pan wyjść?

Sama myśl o zostawianiu jej choćby na minutę doprowadzała go do szaleństwa, ale nie chciał się kłócić. Dbały o nią jej przyjaciółki i musiał im zaufać.

Wyszedł na oślep z pokoju, do poczekalni. David Sorrenson został na swym ranczo, żeby pilnować Jane i Autumn, ale Ryan i Alex siedzieli tam, udając, że czytają gazety. Wstali, gdy go zobaczyli.

- Jak się trzymasz? - spytał Ryan.

Clint pokręcił głową.

- Wcale.

- Nic nie mówią na temat jej stanu?

- Nie.

- Gdybyśmy mogli cokolwiek zrobić...

- Możecie mi przynieść na tacy głowę tego drania
- warknął Clint, zaciskając pięści.

- Obiecujemy - odrzekli razem.

Może była to próżna obietnica, bo w dalszym ciągu nie mieli pojęcia kto to mógł być, ale dobrze było mieć przy sobie przyjaciół. Jeszcze coś się zmieniło, odkąd poznał Tarę. Teraz był skłonny przyjąć ich pomoc, a nie załatwiać wszystko i pilnować wszystkiego samemu.

Poprzez nią zrozumiał, że nie jest słabością, jeśli się kogoś potrzebuje; słabością jest udawać, że nie potrzebuje się nikogo.

- Mielicie jakieś wiadomości z policji albo straży pożarnej?

- Są pewni, że to było podpalenie.

- Ciekawe - mruknął ironicznie Clint. - Gdyby Tara... gdyby ona... niech ten drań się pilnuje, żebym to nie ja go schwytał.

Ryan klepnął go w plecy.

- Człowieku, idź do domu, prześpij się.

Clint pokręcił głową.

- Nigdzie nie idę. Jeszcze nie.

Alex zwrócił się do Ryana.

- Nie zostawia się kobiety, którą się kocha, idioto.

- Nazwałeś mnie idiota?

- Chyba tak.

Ryan zmrużył oczy.

- Masz szczęście, że jesteśmy w szpitalu. Jak cię załatwię, nie będą cię musieli daleko wozić.

Clint nie wsłuchiwał się w tę rozmowę „chłopa-ków”, ale zwrócił uwagę na wyraz „kocha”.

Kochać.

Czy to możliwe? Czy takie uczucie może opanować mężczyznę, który żył w przekonaniu, że nigdy już nie pokocha żadnej kobiety? Czy zasłużył sobie na następną miłość? Nigdy nie sądził, że to będzie możliwe, ale to chodzi o Tarę...

- Popatrz na niego - powiedział Ryan, który miał dosyć wymiany złości z Alexem. - Chyba potrzebuje snu.

- Potrzebuję jej - powiedział w skupieniu Clint.

Ryan skinął głową, Alex poklepał go po plecach.

- Możesz na nas Uczyć.

- Dzięki. Wracam do niej - odpowiedział i wyszedł z poczekalni.

Musi do niej dotrzeć. Nawet jeśli nie będzie go słyszała, musi jej powiedzieć, jak go odmieniła, że dzięki niej opuściły go zmyły. Musi ją wziąć w ramiona i powiedzieć jej, że go wyzwoliła z przeszłości.

Skomplikowany świat pokoju szpitalnego docierał do Tary stopniowo. Jak niemowlę, które po raz pierwszy otwiera oczy, zobaczyła światło, potem przedmioty, potem ruch. Na końcu mężczyznę, który siedział przy jej łóżku.

- Clint? - spytała wciąż zachrypniętym głosem.

Skinął głową, patrząc z czułością.

- Dzięki Bogu. Cały czas miałem nadzieję, że wrócisz do mnie.

Jego głos dochodził z daleka, ale wiedziała, że nie śni ani nie jest w niebie. A może jest?

Starła się w niego wpatrywać, ale miała zbyt ciężkie powieki. Zamrugała. Clint Andover, najprzystojniejszy mężczyzna na świecie, marzenie jej dzieciństwa i dorosłości, uśmiechał się do niej.

- Wesołych świąt, kochanie.

Tak długo była nieprzytomna?

- To już święta?

- Wigilia. Ja mam ochotę już świętować. Nie masz nic przeciwko temu?

- Absolutnie nie.

- Muszę przyznać, że to przebudzenie jest najlepszym prezentem, siostró Roberts.

Patrzył na nią tak, jak sobie to wymarzyła.

- Jak długo spałam? - zapytała. - Jeżeli dziś jest Wigilia...

- No, parę dni.

Głowa znów opadła jej na poduszkę. Przymknęła oczy. Kilka dni. Przypomniała sobie dym, ogień i znów ogarnął ją potworny strach. Nigdy w życiu nie będzie mogła o tym zapomnieć. Ale to się już skończyło, już po wszystkim, uświadomiła sobie i spróbowała otworzyć oczy. Chciała znów napotkać jego spojrzenie, które trzymało ją przy życiu i gdyby nie fakt, że nie śmiała tego przypuszczać, było to spojrzenie pełne...

Odrzuciła tę myśl i spytała cichutko.

- To był on, prawda?
- Tak przypuszczamy.
- Dlaczego?
- Żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie zrozumie szaleńca, Taro.

Przeszedł ją dreszcz.

- A Jane i dziecko?
- W porządku - zapewnił ją Clint.
- A mój dom?
- Nie myśl o tym.
- Mój dom? - spytała znowu, z całą mocą. Znała odpowiedź, domyślała się, ale musiała to od niego usłyszeć.

Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i pokręcił przecząco głową.

- Przykro mi.

Tara odwróciła się. Serce pękało jej z bólu. Był to jej rodzinny dom, w którym wyrastała, otoczona miłością i troską matczyną. Później stanowił jej ucieczkę od świata i problemów dorosłej kobiety, a ostatnio stał się miejscem, w którym odkryła prawdziwą siebie, kobietę, która istniała w niej od zawsze. W tym domu odnalazła prawdziwą miłość.

Clint ujął jej rękę i przyciągnął do swoich ust.

- Ale ty jesteś i żyjesz.
- Tak.
- I czy to zaakceptujesz, czy nie, masz dom. U mnie.

- Co?
- To znaczy, jeśli mi przebaczysz.
- Co przebaczę?
- To, że cię zostawiłem samą tamtej nocy...
- Przecież pożar nie był twoją winą - powiedziała

z największym przekonaniem. - Żaden pożar nie był twoją winą. Musisz to sobie uświadomić. Jesteś cudownym, troskliwym i odpowiedzialnym mężczyzną.

Z oczami błyszczącymi od łez powiedział:

- Tak bardzo cię kocham, Taro.

Chyba go nie dosłyszała.

- Naprawdę?
- Beznadziejnie - odpowiedział i nachylił się, żeby ją pocałować.

- Clint...

Przylgnął czołem do jej czoła i mówił dalej.

- Nigdy nie myślałem, że jeszcze się kimś zainteresuję. Myślałem, że umarłem. Chyba naprawdę byłem martwy. - Wprostował się i położył sobie jej dłoń na piersi. - Ta blizna to byłem ja, kochanie. Spalony, zniszczony, może lekko zagojony, ale jednak uszkodzony.

Tara nie wierzyła własnym uszom. Gdyby nie to, że czuła na sobie rezultaty pożaru i trzydniowej nieprzytomności, przypuszczałyby, że śni. Wspaniały sen. Ten, w którym Clint i jej dziecko biegli i usiedli obok siebie na kanapie.

To była rzeczywistość. Clint patrzył na nią rozkochanym spojrzeniem.

- Te kilka ostatnich tygodni to był najbardziej zdumiewający i doskonały okres w moim życiu, od bardzo dawna. - Pokręcił głową. - Kto by przypuszczał... Zeszliśmy się w najbardziej dziwacznych okolicznościach...

- Przerazających.

- Tak, ale...

- Ale? - spytała, czując przyspieszony puls.

- Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale z tych niesprzyjających okoliczności wynikła taka zdumiewająca miłość.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała, bo mogła tego słuchać bezustannie.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo.

- Och, Clint, ja też...

Też cię kocham.

Zatrzymała się. Dlaczego nie była w stanie tego powiedzieć? Wydawało jej się, że kocha tego mężczyznę od zawsze, przyznała się do tego przed sobą parę tygodni temu, a teraz nie może wypowiedzieć tych słów?

Clint zaśmiał się.

- Nie bój się tego powiedzieć, kochanie. To nie boli aż tak, jak myślałem.

- Boli?

- Przerazająca sprawa, jeśli musisz odrzucić wszystkie instynkty samozachowawcze, całą samokontrolę, do której było się przyzwyczajonym. - Tara słuchała go

w zdumieniu. Uśmiechnął się do niej. - To bardzo przyjemne powiedzieć, co czujesz, i zażądać tego, czego chcesz.

Chciała tego, bardzo chciała. Przez tyle lat trzymała swoje uczucia zakorkowane w butelce, jak wino dojrzewające w piwnicy. Dotychczas uważała, że jej życie polega na tym, żeby się poświęcać.

Spojrzała na Clinta i patrząc w jego oczy, wiedziała, jaka przyszłość ją czeka, jeśli będzie dostatecznie odważna, żeby ją zaakceptować.

- Ja też cię kocham - powiedziała, unosząc się trochę, żeby znaleźć się na jego poziomie. - Tak bardzo, że to aż boli.

Przybliżył się do niej, czuła jego ciepło.

- Czy możemy zacząć swoje życie od nowa, Taro?

- Razem?

- Tak.

- Z przysięgami, własnym domem i... dziećmi? - spytała szybko.

Uśmiechnął się szeroko.

- Mnóstwem dzieci.

Usta jej zadrżały i poczuła kulę w gardle.

- Och, tak.

- Wyjdiesz za mnie?

- Kiedy? - serce jej stanęło.

Zaśmiał się.

- Jak szybko się da.

- Szybciej - zaśmiała się, po czym zaczęła kaszleć.

- Może jednak zaczekamy kilka dni, aż będę mogła wyjść ze szpitala.

Pocałował ją czule, po czym ostrożnie położył się obok niej na szpitalnym łóżku.

- Doskonały plan - powiedział, obejmując ją ramieniem.

Tara przymknęła oczy, modląc się cicho z wdzięcznością.

- Dziękuję - szepnęła do Clinta.

- Za co, kochanie?

- Za uratowanie mnie.

- Od pożaru? - spytał, tuląc ją mocniej.

Uśmiechnięta Tara ułożyła głowę na jego piersi.

- Od pożaru też, ale co ważniejsze, od życia bez ciebie.

EPILOG

Pięć dni później...

Ślub odbył się w białej altanie, w której pocałowali się po raz pierwszy, po raz drugi, a dzisiejszego wieczoru po raz trzeci, gdy oficjalnie zostali mężem i żoną.

Clint ujął piękną pannę młodą za rękę i sprowadził po schodach na długi, czerwony dywan, którym szli między gośćmi. Zebrało się około dwustu osób i kiedy rozległ się dźwięk klaksonu, wybuchł entuzjazm i przez minutę trwały nieprzerwane oklaski.

Wyprostowany Clint uśmiechał się od ucha do ucha. Nigdy nie przypuszczał, że jeszcze przeżyje taki dzień. To Tara zmieniła jego, zmieniła jego życie i był pewien, że przy niej skończą się jego zmory, a przeszłość zostanie przeszłością.

Zaprowadził Tarę do części parku, w której odbywało się przyjęcie, pod rozgwieżdżonym niebem Teksasu. Między drzewami umieszczono grzejniki, a obsługa działała sprawnie, roznosząc tace z kieliszkami szampana i ponczu rumowego, ciasteczek serowych

i grzanek z kawiozem. Przyjęcie było eleganckie, a jednocześnie nie rozrzutne.

Clint uśmiechnął się do żony, a ona do niego.

- Czy możemy na minutę pożyczyć pannę młodą?
- spytała radośnie Marissa Sorrenson z Jane Doe u boku.

Skinął głową, ale dodał żartem.

- Tylko na kilka minut. Później jest wyłącznie moja.

Marissa wraz z Jane odciągnęły Tarę na bok, w związku z czym na Clinta rzucili się jego przyjaciele z klubu.

- Nie mogę uwierzyć w to, że ty i Sorrenson odważyliście się - powiedział Ryan, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Co tu się, u diabła, dzieje?

David poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Ty możesz być następny, Evans.

- Bądź poważny.

- A co z tobą, Kent?

Alex prychnął.

- Trzeba czegoś więcej niż ładna buzia, żebym się wbijał w to śmieszne przebranie, zapewniam was.

- Kiedy pojawi się właściwa kobieta... - ostrzegł Clint.

- W tym problem - roześmiał się Ryan. - Za dużo odpowiednich kobiet, za mało czasu.

Alex skinął głową i sięgnął po kieliszek szampana.

- Bardzo słusznie.

- No, to chłopaki, udanego polowania. Jestem umówiony na taniec z moją najodpowiedniejszą kobietą - zaśmiał się David i ruszył w kierunku Marissy.

Clint włożył w dłoń Alexa swój nietknięty kieliszek szampana.

- Ja też.

Obaj kawalerowie roześmiali się, ale głośno pogratulowali Clintowi, który szedł w kierunku Tary. Stała obok parkietu, wciąż rozmawiając z Marissą i Jane.

Na chwilę spojrział na nią z daleka. Wyglądała jak anioł, w śnieżnobiałej ślubnej sukni, z jasnymi lokami do ramion, błyszczącymi oczami i policzkami zaróżowionymi od chłodu, a może z miłości?

- Czy mogę prosić o ten taniec, pani Andover? - spytał z galanterią, kłaniając się w pas.

Roześmiała się, a potem dygnęła i odpowiedziała:

- Z największą przyjemnością, panie Andover.

Pod czujnym spojrzeniem Marissy, Jane i Davida i może jeszcze stu innych osób, zaprowadził Tarę na prowizoryczny parkiet.

- Czy powiedziałem ci już, jak pięknie dziś wyglądasz? - spytał, biorąc ją w ramiona.

Muzyka grała, goście rozmawiali, śmiali się i świętowali w jasnym, odświeżonym świetle księżyca.

- Mówiłeś, ale chętnie usłyszę to jeszcze raz.

- Więc będę wciąż to powtarzał.

Wspięła się na palce, pocałowała go i powiedziała:

- A ja będę cię wtedy zasypywać pocałunkami.

- Trzymam cię za słowo - odpowiedział, przyciągając ją jeszcze bliżej do siebie.

- Mam nadzieję - uśmiechnęła się. - Nie wznieśliśmy toastu za naszych gości!

- A może najpierw jakieś prywatne?

- Świetnie.

Pocałował ją delikatnie.

- Za nadchodzący Nowy Rok.

- Oczywiście.

Znów ją pocałował w usta.

- Za życie.

- I za miłość - szepnęła.

Uśmiechnął się.

- Za przeszłość i przyszłość.

- Za dzieci i starość.

Przejęty Clint zatrzymał się na środku parkietu, w środku piosenki, i ujął twarz Tary w dłonie.

- Za ciebie, moja słodka Taro.

Gdy spojrzała mu w oczy, widział w nich miłość, ale dopiero słowa, które wypowiedziała, uleczyły jego zranioną duszę.

- I za ciebie, mój ukochany.